



**PATRICIA KNOLL**

**Podwójny ślub**

Tytuł oryginału:  
**A Double Wedding**





## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niespokojne pustynne wiatry atakowały na przemian to porywami deszczu, to tumanami kurzu wielką szybę wystawową Yogurt Gallery. Wokół framugi drzwi zastygało świeże błoto.

Silvanna Carlton popatrzyła z rezygnacją na olbrzymią szklaną tafelę. Przecież nie dalej jak dziś rano czyściła ją do połysku. Potem przeniosła wzrok na świeżo umytą szachownicę czarno-białych płytek podłogi.

Mrucząc coś pod nosem o zmiennej pogodzie arizońskiego lata, wetknęła na powrót mopa w wiaderko z wodą pachnącą sosną i mszyła w stronę wejścia. Zwinnie kołysząc wąskimi biodrami, omijała niewielkie malowane na biało stoliki i krzesła z lanego żelaza. Zamaszystymi ruchami wytarła zabłocone miejsca. Z ponurą miną poprzysięgła sobie założyć nową izolację na drzwi, gdy tylko podpisze stosowne dokumenty i sklep stanie się jej własnością.

Ta myśl od nowa napełniła ją radością. - Jej sklep! Ta podłoga, okna i całe wyposażenie, wszystko będzie należało do niej. Wreszcie będzie miała własny interes.

Pod wpływem uśmiechu jej ładna twarz stała się wręcz piękną. W brązowych oczach pojawiły się radosne błyski. Widząc swoje odbicie w szybie wystawowej, zdmuchnęła złotobrazowy kosmyk włosów z twarzy i roześmiała się głośno.

Z mopem w rękę wycofała się na suchą część posadzki, by przyjrzeć się własnemu dziełu. Była tak podniecona, że omal nie stanęła na rękach na małym stoliku, by wykonać salto w tył.

Zadowolila się piruetem, trzymając kij od mopa niby partnera. Wirowała po sali niczym Ginger Rogers w jednym z filmów muzycznych.

Odkąd przed trzema laty zakończyła karierę akrobatki cyrkowej, miała się różnych nieciekawych zajęć, aż wreszcie trafiła na pracę, którą pokochała - prowadzenie tego sklepu. Pragnęła osiadłego, spokojnego życia i teraz miała okazję to osiągnąć.

Yogurt Gallery wydawała się dla niej idealnym rozwiązaniem. Stojąc za ladą, poznawała mnóstwo interesujących osób. Miała też stały kontakt z miejscowymi artystami, którzy wstawiali tu w komis swoje prace, od wyrobów ze szkła poczynając, na olejnych obrazach kończąc. Ujmująca postawa Silvan-y zjednywała jej klientów, a artystyczna dusza - lokalnych twórców.

Dzięki dobrej lokalizacji w samym centrum przez galerię przewijał się nieustanny strumień klientów. Ludzie zaglądali tu, by zjeść zimną przekąskę i odetchnąć od panującego w Tucson upału. Zważywszy na to wszystko, doszła do wniosku, że mogłaby mieć taki sklep na własność.

Roześmiała się z tego budowania zamków na lodzie. Najpierw trzeba by ten sklep kupić, choć wydawało się to coraz bardziej prawdopodobne. Wszystko dzięki babci, która - niech ją Bóg za to wynagrodzi - wspomogła ją finansowo.

Wciąż trzymając mopa w rękę, Silvey odwróciła się tyłem do drzwi, kiedy ktoś zapukał w szybę.

Na zewnątrz stał jakiś mężczyzna i osłaniając dłońmi oczy, zaglądał do środka. Nie widziała wyraźnie jego twarzy, a jedynie białą koszulę i ciemne spodnie.

- Zamknięte! - zawołała zaniepokojona.

Mężczyzna zwinął dłonie w trąbkę wokół ust.

- Proszę otworzyć! Muszę... - Dalsze słowa zagłuszył ob-sypujący wszystko kurzem wiatr.

- Przepraszam, ale już zamknięte. - Pokręciła głową. Przeszła po mokrej posadzce, by opuścić żaluzje.

Mężczyzna sądził najwyraźniej, że Silvey chce otworzyć drzwi, bo cofnął się i z nadzieją popatrzył na klamkę.

- Zaczekaj! - zawołał, widząc, co chce zrobić.

Silvey zauważyła jeszcze urażony wyraz twarzy i złość w oczach za przyciemnianymi szklami, potem zamknęła żaluzje i zawróciwszy na pięcie, odeszła od drzwi. Dochodziła jedenaśta w nocy, a godziny otwarcia sklepu były wyraźnie wypisane na drzwiach.

Stała przez chwilę bez ruchu i bojąc się wyjrzeć, zastanawiała się, czy nieznajomy już sobie poszedł.

- Niech mnie diabli, jeśli pozwolę się uwięzić we własnym sklepie - mruknęła. Uchyliła koniec żaluzji i zobaczyła, że mężczyzna oddala się chodnikiem. Z ulgą odstawiła wiadro z mopem na zaplecze. Wzięła zmywak do szyb i miękką ścierkę, by przepolerować raz jeszcze szkło i stal nierdzewną.

Zwykle nie zamykała sklepu, pozostawiając to pracującej dorywczo młodzieży, ale dziś z powodu wakacji urzędowała w galerii od momentu otwarcia. Silvey rozwiesiła szmatkę na krawędzi zlewozmywaka i ścisnęła chłodną stal. Usztyniła barki i wyciągnęła do przodu szyję, chcąc rozluźnić mięśnie karku. Wreszcie wyprostowała się, potarła kark i ziewnęła.

Ostatnie miesiące były wyjątkowo męczące. Walter, właściciel galerii, zachorował i spadła na nią cała odpowiedzialność związana z prowadzeniem interesu. Kiedyś myślała, że wejście w posiadanie własnej firmy będzie łatwe. Teraz pokiwała głową nad swoją naiwnością.

To, że przez długi czas była akrobatką, nie pomogło jej wcale. Jak zdążyła się zorientować, nie wzbudzało to zbyt dużego szacunku, a już najmniej kojarzyło się ze stabilnością. W końcu przecież straciła pracę, kiedy cyrk zbankrutował. Od tej pory

przez trzy lata wykonywała różne prace, co również świadczyło przeciwko niej, gdy chciała zaciągnąć kredyt.

Gdy zadzwonił do niej urzędnik z działu kredytów i oświadczył, że bank uznał udzielenie jej pożyczki za zbyt ryzykowne, omal nie dostała ataku serca i zatelefonowała do babci, żeby się wypłakać. Babcia oddzwoniła po dwóch godzinach i poinformowała Silvey, że odpowiednia suma pieniędzy zostanie przelana na ich wspólne konto jeszcze tego samego dnia.

Oszołomiona Silvey została z mnóstwem pytań, które musiały poczekać, ponieważ w sklepie było mnóstwo klientów. Bardzo pragnęła wrócić do domu i dowiedzieć się, skąd babcia wytrzasnęła gotówkę.

Ponieważ zanosilo się na dłuższą rozmowę, miała nadzieję, że w domu nie zostanie zasiedziałyh gości. Ekscentryczni przyjaciele babci przebywali z nią nieraz do późna w nocy. Jednak, jak się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że nie na darmo.

Nachmurzyła się, sprawdzając zamki i gasząc światło. Babcia ostatnio zachowywała się dość dziwnie, zwłaszcza jak na kogoś, kto zawsze był oryginałem. Była cicha, niemal senna. Przestała uskarżać się na złe traktowanie starszych i ubolewać nad losem zwierząt doświadczalnych. Nie poruszała też swego najnowszego hobby: ocalenia sztuki i cmentarzy Indian arizońskich.

Silvey wzięła płaską, zamykaną na zamek błyskawiczny, saszetkę z utargiem, by złożyć ją w skrytce nocnego depozytu bankowego. Zarzuciła torebkę na ramię i przed wyjściem tylnymi drzwiami włączyła alarm. Asphalt stygł powoli, oddając ciepło nagromadzone w ciągu dnia. Wiatr ucichł na chwilę.

Zamknawszy drzwi, odwróciła się w stronę ciemnej uliczki. Gęste chmury skryły księżyc, a latarnie na końcu alejki były zgaszone. Prosiła co prawda właścicieli centrum handlowego,

by zostawiali światło przez wzgląd na pracujących do późna jej młodych pomocników, ale widać bez skutku. Jutro znów się o to upomni, tym razem bardziej stanowczo.

Przyspieszyła, pragnąc jak najprędzej ulokować torbę z depozytem w samochodzie. Dzięki Bogu, stać ją było na nowy i niezawodny wóz. Sportowa mazda Rx 7 była niewątpliwie ekstrawagancją w jej sytuacji, ale kupiła ją okazjijnie od byłego chłopaka. Oczywiście, gdyby nie mazda, nie potrzebowałyby zaciągać aż tak dużego kredytu. Wzruszyła niecierpliwie obo-  
lałymi ramionami, odrzucając ponure myśli.

Wiatr znów wzbiał kurz i poruszył liście palm. Ich spiczaste końce uniosły się ku górze, jakby chciały przebić zasłaniającą księżyc warstwę chmur.

Z tyłu rozległ się głuchy, metaliczny dźwięk. Obejrzała się nerwowo. Pewnie to jakiś kot grasujący w śmietnikach. Nagle wydało się jej, że w mroku zamajaczył jakiś cień.

Przyspieszyła kroku. Niemal biegła ciemną alejką w stronę światła.

- Może to nic strasznego - mruknęła pod nosem. - Och! Zderzyła się z masywną sylwetką. Impet odrzucił ją w tył, wypierając dech. Chociaż tamta osoba też jęknęła, Silvey miała wrażenie, że wpadła na mur.

Wciąż oszołomiona podniosła wzrok. Przed nią stał mężczyzna. Światło żółtych halogenów rozjaśniających parking wyostrzało jego rysy. Oczy kryły się za ciemnymi szklami. Wyciągnął rękę w jej stronę.

W tym momencie zorientowała się, że to człowiek, który zaglądał przez witrynę. Szarpnęła się w tył, gotowa w każdej chwili do ucieczki.

- Nie bój się - powiedział. - Czy ktoś cię goni?

- Nie... - Zamrugęła ze zdziwieniem. Bała się przyznać, że znalazła się oko w oko z człowiekiem, który ją przerażał.

- Wszystko w porządku, zdaje się, że trochę spanikowałam - przyznała, unosząc podbródek. - Zwłaszcza po tym, jak ujrzałam pana przed drzwiami mojego sklepu, panie...

- Mam na imię Dan.

Skinęła głową i poprawiła pasek torebki. Saszetka z depozytem uwierała ją pod pachą. To przypomniało jej o banku. Zerknęła na torebkę nerwowo. W środku były pieniądze. Odczekała chwilę, aż oddech się jej uspokoi.

- Panie Dan, dziękuję za pomoc i... dobrej nocy.

- Proszę zaczekać, panno Carlton. Musimy porozmawiać.

Znał jej nazwisko! Zatrzymała się. Podejrzana sprawa.

- Czy tylko o rozmowę panu chodzi? - Znajdowali się na oświetlonej przestrzeni i usiłowała zmierzyć go mrozącym krew w żyłach spojrzeniem, jakiego nauczyła się od babki.

- Chcę tylko porozmawiać.

- A to niby o czym?

- Sprawa jest natury osobistej. Usiłowałem wyjaśnić wszystko wcześniej, u pani w sklepie, ale nie otworzyła mi pani drzwi.

- To było jedno z moich mądrzejszych posunięć - mruknęła niepewnie. - Nawet pana nie znam.

- Łatwo temu zaradzić.

Przygryzła dolną wargę i pokręciła głową.

- Proszę przyjść jutro, w godzinach pracy. Za dnia. Jestem zmęczona i chcę jak najszybciej wrócić do domu. I niech pan nie waży się mnie śledzić! - dodała spieszenie, czując ulgę, kiedy znaleźli się wreszcie na oświetlonym parkingu. Poszła w stronę banku.

- Panno Carlton, błagam. Nie zamierzam zrobić pani krzywdy. - Zastąpił jej drogę i na dowód prawdziwości swych słów pokazał jej puste ręce.

Teraz mogła mu się dokładniej przyjrzeć. W żółtym świetle

rysy twarzy wydawały się drapieżne. Gęste włosy miał krótko ostrzyżone. Ubrany był w ciemne spodnie i jasną koszulę z podwinętymi rękawami.

- Gdybym coś planował, zrobiłbym to w alejce - podkreślił, zdejmując okulary. - Nie zabiorę pani dużo czasu i jestem pewien, że wspólnymi siłami rozwiążemy ten problem.

- Jaki znów problem?

Włożył z powrotem okulary. Zdawał się przewiercać ją wzrokiem przez szkła.

- Dowie się pani o wszystkim, gdy zgodzi się porozmawiać. Im szybciej, tym lepiej. - Uznał to za rzecz oczywistą, bo odsuwając się na bok, dodał: - Poczekam, aż złoży pani depozyt w banku.

Zdenerwowana zderzeniem w alejce i jego natarczywością, Silvey poczuła, jak przechodzą ją ciarki.

Dan powoli uniośł ręce i odsuwając je od ciała, obrócił się dookoła, by upewnić ją, że nie ma przy sobie broni. Potem odezwał się, mówiąc w trochę śmieszny, rozwlekły sposób:

- Nie interesują mnie pani pieniądze. Prawdę mówiąc, czy już tego nie dowiodłem?

- Czego? - Cofnęła się zdumiona.

- Już to powiedziałem.

- Niczego pan nie powiedział.

Uśmiechnął się jedynie. Widać było, że jest opanowany.

Ciekawość zmagala się z ostrożnością. Kim jest ten facet i czego od niej chce? Przeworność nakazywała odmowę, lecz Silvey postanowiła udawać, że panuje nad sytuacją.

- Dobrze - rzekła wreszcie zgryźliwym tonem.

Poszła w stronę banku. Dan towarzyszył jej w odległości kilku kroków, potem zaczął na rogu, aż Silvey otworzy klapę skrytki nocnego depozytu i wrzuci saszetkę do środka. Z uczuciem ulgi odwróciła się w jego stronę.



- Porozmawiamy w publicznym miejscu - zażądała, pokazując na restaurację znajdującą się po drugiej stronie parkingu.

- Gdzie tylko pani sobie życzy.

Silvey ruszyła dziarskim krokiem. Jej pewność siebie wzrosła w miarę przybliżania się do jasno oświetlonego budynku, w którym jadała nieraz, gdy goście babci ogołocili lodówkę.

Sama zresztą nie gotowała najlepiej.

Dan otworzył przed nią drzwi. Przemknęła do środka. Widząc jej unik, skłonił głowę i uśmiechnął się ironicznie. Zignorowała to, ciesząc się widnym wnętrzem, szczękiem rozkładanej i zmywanej zastawy oraz sztucców. W powietrzu unosił się zapach mocnej kawy i takiego sosnowego środka czyszczącego, jakiego ona również używała. Prócz kilku spóźnionych klientów było pusto. Kelnerka przyniosła kartę.

- Cześć, Silvey. Pracujemy do późna, co?

- Nie ma wyjścia, Patsy, kiedy póletatowi pracownicy mają wakacje. - Nastrój Silvey zrobił się wręcz wesoły, gdy obserwowała reakcję kelnerki na widok Dana.

Uśmiech Patsy zmienił się ze służbowego w specjalny.

- Witaj. Usiądź gdziekolwiek, pojawię się za sekundę.

Silvey obejrzała się i zrozumiała, czemu kelnerka uważa, że Dan jest atrakcyjny. Mógł uchodzić za przystojnego mężczyznę. W jasnym oświetleniu rysy nieco mu złagodniały, choć pozostały zdecydowane. Złotobrazowy odcień starannie zaczesanych włosów współgrał z opaloną twarzą. Jasnoniebieskie oczy Dana napotkały jej wzrok i błysnęły rozbawieniem. Nie umiała odgadnąć jego wieku. W pierwszej chwili wydawało się, że ma około trzydziestki, lecz czujne oczy wydawały się starsze.

- Na co masz ochotę? - spytał Dan, otwierając menu.

- Tylko kawę. - Silvey przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, ponieważ ogarnęła ją ta sama dziwna niepewność, co wówczas na parkingu.

Dan zamówił dwie kawy.

- Może wreszcie przejdziesz do rzeczy i powiesz mi, o co chodzi? - spytała.

Popatrzył jej uważnie w oczy. Wzrok ściemniał mu do barwy nocnego nieba, kiedy studiował jej filigranową, czujnie napiętą sylwetkę. Wreszcie skinął głową.

- W porządku - z kieszeni koszuli wyjął mały notes - ale muszę się upewnić, czy mam do czynienia z właściwą kobietą.

Silvey wyprostowała się na chłodnym, winylowym krześle.

- Właściwą kobietą?

- Czy jesteś Silvanna Lee Carlton, lat dwadzieścia trzy?

- Tak, ale...

- Twoi rodzice, Richard i Elaine Carlton przebywają obecnie w Wenezueli, gdzie jako geolodzy pracują dla firmy Marathon Oil?

Silvey zacisnęła palce na krawędzi stołu.

- Skąd wiesz o moich rodzicach?

- Mieszkasz ze swoją babką - ciągnął dalej - Leilą Parkins Carlton znaną jako Leila Cudowna Kobieta, była akrobatką cyrkową, z którą występowałaś przez szereg lat i z którą masz wspólne konto bankowe?

Oczy Silvanny rozszerzyły się ze zdumienia.

- Cóż, rzeczywiście używała takiego pseudonimu, kiedy występowałyśmy w cyrku... ale co pana obchodzi nasze wspólne konto? - zwróciła się oficjalnym tonem, unosząc się na krześle. - O co w tym wszystkim chodzi? Kim pan jest?

Kosmyk włosów opadł mu na czoło, co wcale nie złagodziło wyrazu jego twarzy. Beznamiętnie obserwował zmieszanie malujące się na obliczu Silvey. Uniosła brwi i ściągnęła usta.

Utkwił wzrok w jej zdziwionych oczach.

- Nazywam się Wisdom i chciałbym wiedzieć, ile będzie

mnie kosztowało odsunięcie pani babki od mojego ojca. - On też wrócił do formy oficjalnej.

- Od pana ojca? A kim, u licha, jest pański ojciec?
- Lawrence Wisdom, w razie gdyby pani nie wiedziała.
- No pewnie, że nie wiem. Nigdy o nim nie słyszałam.

O panu również. I wcale nic o panu nie chcę wiedzieć. Jest pan niespełna rozumu. Powinnam zaufać przeczuciu i nie zgodzić się na tę rozmowę. - Wstała.

Dan pochylił się do przodu, powstrzymując ją siłą woli. Odezwał się nie znoszącym sprzeciwu tonem:

- Niech pani siada, panno Carlton i wysłucha tego, co mam do powiedzenia.

Popatrzyła na niego, tocząc wewnętrzną walkę. Z jednej strony chciała przerwać to przesłuchanie, z drugiej, pragnęła ująć się za dobrym imieniem babci i swoim własnym.

Pojawiła się kelnerka z dzbankiem parującej kawy. Kiedy chciała coś powiedzieć, Dan zgromił ją wzrokiem.

Silvey wiedziała, że Patsy musiała wyczuć napiętą atmosferę. Była gością, jak przed burzą.

Kiedy zostali sami, Dan rozluźnił się i pochylił głowę.

- Nie było mnie przez szereg tygodni. Dopiero dzisiaj dowiedziałem się o związku łączącym Leile Carlton z moim ojcem.

Silvey chciała zaprotestować, ale podniósł dłoń, czym zmusił ją do milczenia.

- Postanowiłem z panią porozmawiać, bo jestem człowiekiem rozsądnym. Zamierzam oferować pani babce pewną sumę pieniędzy w zamian za pozostawienie mojego ojca w spokoju. Oczywiście pani też wypłacę taką samą kwotę - błysnęła oczyma - rzecz jasna w granicach rozsądku.

Silvey patrzyła na niego okrągłymi oczyma. Otworzyła usta, ale ani jedno słowo nie mogło przejść jej przez gardło. Żaden

nieznajomy nigdy nie oferował jej w taki sposób pieniędzy.  
Było to równie obraźliwe, co komiczne.

- To nie ma żadnego sensu. Panie Wisdom, może zaczniemy od początku? Najwyraźniej zaszła jakaś pomyłka. Pański ojciec związał się z jakąś kobietą...

- Leilą Parkins Carlton.

- To niemożliwe - syknęła. - Wiedziałabym, że moja babcia spotyka się z mężczyzną.

- Spotkali się dopiero niedawno. - Dan zabębnił palcami po stole. - Przedtem ze sobą korespondowali. - Podniósł wzrok.

- Najwyraźniej dowiedziała się o jego ostatnim rozwodzie...

- Ostatnim rozwodzie?! - krzyknęła Silvey. Nagle wszystko stało się jasne. - Lawrence Wisdom, ten aktor? Ten... - Ton jej głosu podniósł się o dwie oktawy. - Ten palant?



## ROZDZIAŁ DRUGI

Dan szarpnął się w przód, gotów do podjęcia walki. Wokół ust i nosa pojawiły się białe linie, lecz nie zdążył nawet otworzyć ust.

- Jest pan najwyraźniej szurnięty, jeśli chce mi wmówić, że babcia ma w romans z tym... wyliniałym kocurem.

Silvey trzęsła się z oburzenia. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych Lawrence Wisdom był wziętym aktorem grającym w filmach przygodowych. Obecnie przyjmował o wiele dojrzałsze role, ale wciąż nie ustatkował się, jeśli chodzi o życie uczuciowe. Przed rokiem z wielkim hałasem przeprowadził się do Tucson, oświadczając, że chce zerwać z hollywoodzkim stylem życia. Najwyższy czas, pomyślała Silvey, skoro miał już dobrze po siedemdziesiątce.

Dan obserwował ją z kamienną twarzą.

- Powinna pani ostrożniej dobierać sformułowania, panno Carlton, zwłaszcza że są to określenia pasujące bardziej do pani, jak i pani babki, o naciągacze i łowczym majątku nie wspominając.

- Łowczyni majątku? - Silvey najpierw zbladła, potem krew napłynęła jej do twarzy. Wygięła się w łuk nad stołem, celując w Dana palcem wskazującym. - Coś panu powiem. Carltonowie może i nie są bogaczami, ale Bogu dzięki, nieźle sobie radzą i nie potrzebują niczyich pieniędzy.

- Już to słyszałem.

- Więc niech pan w to lepiej uwierzy, bo to prawda!

Dan również poderwał się z krzesła i oboje znaleźli się naprzeciwko siebie. Dzieliły ich zaledwie centymetry. Silvey mogła dostrzec żyłki w jego oczach.

Mimo iż wiedziała, że nie powinna tracić panowania nad sobą, dała się ponieść emocjom.

- Za kogo się pan uważa? Kto dał panu prawo oskarżać ludzi, których pan wcale nie zna?

Dan wyprostował się powoli, opadł na krzesło i skrzyżował ręce na piersi. Z palcami zaciśniętymi na bicepsach wyglądał wyjątkowo imponująco.

- Robię, co muszę, by chronić ojca.

- Przede mną i siedemdziesięciodwuletnią siwą babcią? - Silvey pokręciła głową. - Bardzo stara się pan chronić ojca, co jest godne podziwu. Ja na pewno postąpiłabym tak samo. - Widząc usztywnienie jego postawy, zorientowała się, że obrała złą taktykę. - Problem polega na tym, że zwrócił się pan przeciwko niewłaściwym osobom.

- Mam dowód - odparł, wyciągając złożoną kartkę papieru. Rozprostował ją teatralnym gestem i wręczył dziewczynie.

Silvey spojrzała na niego podejrzliwie, ale wzięła kartkę, która okazała się kserokopią listu. Zerknęła na zakończenie i zauważyła tam podpis identyczny z tym, jaki miała babka. Przez chwilę przyglądała się mu z niepokojem, potem zerknęła na pełną oczekiwania twarz Dana. Wróciła do listu.

Tekst był tak upstrzony ckliwymi frazesami, że niemal ociekał lukrem. Autor, a raczej autorka listu informowała Lawrence'a Wisdoma, że od lat jest jego wielbicelką, a zważywszy na jego ostatni rozwód, chciałyby się z nim spotkać. Dodała również, że pracuje wraz z grupą przyjaciół nad szeregiem społecznych i regionalnych zagadnień i miło byłoby, gdyby się do tego przyłączył. Silvey nachmurzyła się. Podpis wyglądał na oryginalny. Zaczęła mieć wątpliwości co do swych upartych zaprzeczeń.

Babcia rzeczywiście ostatnio dziwnie się zachowywała. Poszła do drogiego fryzjera i obcięła hodowane od lat długie włosy. W szafie królowały nowe stroje, pasujące do modnego uczesania. Chociaż od zawsze była w dobrej formie i od czasu porzucenia pracy w cyrku przybyło jej zaledwie kilka kilogramów, zaczęła regularnie biegać. Najdziwniejsze zaś było to, że nalegała, by Silvey zwracała się do niej po imieniu!

Zerknęła na Dana, potem znów na kartkę papieru. To niemożliwe! Ktoś podszył się pod babcię i podrobił jej podpis. Nie mogła napisać takiego listu! Na litość boską, przecież jest emerytką! Nie uwodziła mężczyzn, zwłaszcza z tak podejrzaną reputacją jak Lawrence Wisdom; A jednak... podpis wyglądał bardzo prawdziwie.

Mina się jej wydłużyła. Złożyła list i oddała Danowi.

Schował go do kieszeni, oparł łokcie na stole i rozłożył ręce, jakby spodziewając się, że Silvey może dojść tylko do jednego wniosku.

- I co, miałem rację?

Jego pewność siebie tylko dołała oliwy do ognia.

- Oczywiście, że nie. Moja babcia nie napisałaby niczego takiego nawet za milion lat.

- Jest pani wyjątkowo upartą kobietą, panno Carlton - westchnął. Obejrzał się i zaczął bębnić palcami po stole. - Jednak nie ma sensu zaprzeczać, że to pani babka napisała ten list.

- Po co miałyby pisać, skoro mogła zadzwonić. Przecież oboje mieszkają w tym samym mieście.

- Ojciec jest znaną osobistością - zauważył przytomnie jej oponent. Znów wyjął list i trzymał go przed sobą. - Ma zastrzeżony numer telefonu. Prócz tego przebywał przez kilka tygodni w Kalifornii, pracując nad filmem.

- I sprząając po paskudnym rozwodzie - wtrąciła zgryźliwie Silvey.

- Który kosztował go krocie - syknął Dan. - Czy dlatego pani babka również pragnie lukratywnej ugody rozwodowej?  
Silvey w pierwszej chwili zaniemówiła z wściekłości.

- W żadnym razie!

Dan bawił się przez chwilę filiżanką z kawą. W końcu popatrzył na Silvey.

- No, a pani? Jaki pani ma w tym interes? Jakbym nie wiedział - parsknął. - Jak pani wytłumaczy ten depozyt, który dziś wpłynął na pani konto?

Z trudem zdążyła pohamować niecenzuralną ripostę. Skąd o tym wiedział? Nie potrafiła mu udzielić odpowiedzi, bo sama nie miała pojęcia, skąd pochodziły te pieniądze.

- Moje finanse nie powinny pana interesować - blefowała.  
- Skąd pan ma takie informacje?

Popatrzył na nią surowo.

- Jak wspominałem, nie było mnie w mieście. Gospodyni ojca zajmowała się moim mieszkaniem i odbierała korespondencję. Na list natrafiłem po powrocie, bo leżał pomiędzy adresowanymi do mnie. Kiedy pokazałem go ojcu, przyznał się do wszystkiego.

- Przyznał się? Przed, czy po wrywaniu paznokci?  
Zaciśnięta szczęka Dana mogłaby twardością konkurować z granitem.

- Ochraniam go. - Wstał nagle i cisnął na stół trochę wysperanych w kieszeni drobnych. - Jest tylko jeden sposób na rozwiązanie tego problemu. Spytamy pani babkę.

Ruszył do wyjścia. Z okrzykiem protestu Silvey pospieszyła za nim.

- Chwileczkę! Babcia pewnie już śpi.

Dan zatrzymał się w progu i zerknął przez ramię.

- W takim razie ją obudzimy.

- Do jasnej... - zakłęła, lecz zorientowała się w porę, że



mówi do zamykających się za nim szklanych drzwi. Dogoniła go na parkingu i zobaczyła, że zaparkował tuż obok jej auta.

- Jeśli w domu będzie ciemno, nie ośmieli się pan jej budzić - upierała się. - Starzy ludzie potrzebują dużo snu.

Dan spokojnie otwierał swój samochód.

Silvey uniosła ręce do góry w geście bezradności.

- Nie pofatyguję się, by wskazać drogę - rzuciła zapalczywie. - Jestem przekonana, że pan ją zna.

W żółtym świetle lamp dojrzała, jak skinął głową.

- I owszem.

Wskoczyli do samochodów. Silvey pędziła pierwsza. Wszystko się w niej gotowało. Lawrence Wisdom rzeczywiście mógł być uwodzony przez jakąś kobietę, ale z pewnością nie przez Leilę. Babcia z pewnością powiedziałaby jej, że się z kimś spotyka. Nigdy się z nikim nie umawiała. Żywy umysł Silvey nie potrafił sobie nawet wyobrazić babci idącej na randkę z kimkolwiek, zwłaszcza z osobnikiem cieszącym się tak niechlubną sławą jak Lawrence Wisdom.

Gdyby jej samochód miał tyle energii, co rozpierająca ją furia, frunąłby do domu. Nawet i bez tego pędziła jak wiatr opustoszałymi ulicami. Kiedy hamowała przed domem, zakłęła w duchu. Ich podjazd, podobnie jak najbliższych sąsiadów, był akurat pokrywany nową nawierzchnią. W związku z tym musieli parkować na i tak już zatłoczonej ulicy.

Wypatrzyła wolne miejsce, w które udało się jakoś wcisnąć niewielką mazdę. Niech pan Wścibski Wisdom sam sobie radzi. Wskoczyła z samochodu i ku swemu rozczarowaniu stwierdziła, że rozwiązał ten problem, parkując w drugim rzędzie.

Trudno, świetnie. Może przynajmniej wlepią mu mandat.

Spotkali się przed drzwiami frontowymi. Silvey wycelowała w Dana palec wskazujący.

- Nie wiem, skąd panu przyszedł do głowy taki głupi po-

mysł, ale za chwilę wszystko wyjaśnimy. Moja babcia nie uwodzi nikogo ani nie wypisuje listów w rodzaju tego, jakim pan wywija. - Otworzyła drzwi i weszła do środka. - To kobieta z zasadami.

Jej szumna deklaracja miałaby zapewne jakąś większą wagę, gdyby akurat w tym momencie babcia nie całowała się w salonie z jakimś nieznajomym.

- Babciu!

- Tato!

Podchwyciła zdumione spojrzenie stojącego za nią mężczyzny i znów zwróciła się ku babci i nieznajomemu, którzy odskoczyli od siebie jak oparzeni.

- Silvanna.

- Daniel.

Dan wziął się pod boki.

- Skoro już ustaliliśmy tożsamość wszystkich obecnych, może przydałoby się nieco wyjaśnień, tato.

Silvey patrzyła bezradnie, jak Leila przyglądała wzburzone włosy, wydyma zaczerwienione od pocałunku usta i poprawia wyrzuconą na modne dzinsy, niebieską bawełnianą koszulę.

- Silvey, chciałabym ci przedstawić Lawrence'a Wisdoma.

- Tato, obiecałeś, że tym razem tak szybko się nie zaangażujesz. - Dan przeczesał niecierpliwym gestem swoje jasnobrązowe włosy.

Wysoki mężczyzna o gęstej siwej czuprynie, niebieskich oczach i wąskich biodrach, zrobił tak urażoną minę, że Silvey ogarnęło poczucie winy. Szybko jednak przypomniała sobie, że ma do czynienia z aktorem. Umiejętność uzewnętrzniania uczuć należała do jego profesji.

Odpowiedział tak dźwięcznym głosem, że gdyby stał na scenie, dałoby się go słyszeć w ostatnim rzędzie balkonu.

- Ależ, synu, wcale nie. Piękną Leilę poznałem ponad miesiąc temu i do tej pory jeszcze nie jesteśmy zaręczeni. - Z eleganckim ukłonem zwrócił się w stronę Silvey. - Panno Carlton, wreszcie mam przyjemność panią poznać.

Silvey, czując, jak uchodzi z niej powietrze, cisnęła torebkę na sfatygowany fotel, usiadła i jęknęła z rozpaczą:

- Och, babciu.

Wszystko, co powiedziała Danielowi, cała żarliwa obrona okazała się kłamstwem. Spojrzała na niego. Dan również nie wyglądał na uszczęśliwionego z faktu, że miał rację. Wydawał się równie załamany jak ona.

Ten głupi, paskudny list, który jej pokazał, rzeczywiście napisała jej nieobliczalna babcia. Co myślała sobie Leila, kiedy zaczęła zadawać się z takim mężczyzną? Silvey popatrzyła na twarz Lawrence'a, który zwrócił się teraz w stronę syna. Wciąż był przystojnym mężczyzną, a w dodatku wcale nie wyglądał na swoje lata.

- A właściwie, to co tu robisz, Danielu?

- Udowadniam pannie Carlton, że oboje macie się ku sobie - odparł. - Tato, czy naprawdę sądziłeś, że po tym wszystkim, co powiedziałeś mi wcześniej, nie pojawię się tutaj?

Lawrence Wisdom uniósł w górę brwi, zrobił kroczek w miejscu, ale nic nie powiedział.

Silvey patrzyła, jak Leila z uśmiechem podchodzi i bierze Lawrence'a za rękę.

- To twój syn? Profesor uczelni?

Silvey spojrzała na Dana ze zdziwieniem. Profesor...

- Tak, to Daniel. - W głosie starszego mężczyzny słychać było dumę. Najwyraźniej łączyła ich głęboka więź emocjonalna. W innej sytuacji mogłaby nawet to podziwiać. Na pewno jednak nie teraz, pomyślała, prostując ramiona.

Nieważne, co Dan myślał sobie o Leili, dość, że został na-

uczony dobrych manier. Uścisnął wyciągniętą dłoń i obdarzył babcię Silvey baczny spojrzeniem.

- Jak się pani miewa?

- Lawrence pieje nad tobą z zachwytu, mój drogi. Nad twoją inteligencją i pracowitością. Jest z ciebie bardzo dumny.

Dan popatrzył wymownie na ojca.

- Tak, sam też jest dość niezwykły.

- Och, w rzeczy samej. - Leila wykonała dziwny gest rękoma, który miał oznaczać ogromny podziw dla ojca Dana.

Widząc ze zdumieniem, jak jej elokwentnej zazwyczaj babce zabrakło słów, Silvey wstała.

- Panie Wisdom... - zaczęła, zwracając się do Dana.

- To jest doktor Wisdom - wtrącił dumny ojciec.

- Doktorze Wisdom - poprawiła się. - Wydaje się, że chyba pan miał rację, a ja się myliłam. - Zerknęła szybko na niego i spuściła wzrok. Nie wiedziała, co z tym wszystkim począć, lecz wołała, żeby obaj panowie już sobie poszli.

- Na to wygląda - odparł Dan i również rzuciwszy jej przełotne spojrzenie, zwrócił się do ojca: - Tato, powinniśmy już pójść. Musimy zamienić słówko, a wydaje mi się, że panna Carlton chce również porozmawiać ze swoją babcią.

- Ależ oczywiście - powiedział Lawrence i wziął Leilę za rękę. Przyciągnął ją do siebie i ponownie pocałował.

Silvey patrzyła na Dana, który obserwował całującą się parę z wymowną miną. Zerknął z niechęcią na Silvey, podszedł do drzwi i otworzył je, wpuszczając do wnętrza podmuch ciepłego wiatru. Z niecierpliwością bębnił palcami po klamce, czekając, aż ojciec oderwie się wreszcie do Leili, powie Silvey dobranoc i wyjdzie.

Dan podążył za nim, nie żegnając się.

Kiedy uchyły kroki obu mężczyzn, Silvey zwróciła się ku Leili, biorąc się pod boki.

- Babciu, czemu mi nic nie powiedziałaś?
- Miałaś mówić mi Leila - poprawiła ją starsza pani.

Zamknęła oczy, prosząc Boga o dar cierpliwości. Tymczasem babcia podeszła do stojącej z boku sofy. Ściągnęła pełne wargi, jakby rozpamiętując, co je zaróżowiło.

- Dobrze, Leilo. Czemu mi nie powiedziałaś, że spotykasz się z tym mężczyzną?

Leila usiadła i złożyła ręce.

- Z kilku powodów - przyznała. - Nie wiedziałam, jak zareagujesz na pojawienie się mężczyzny w moim życiu. Byłaś przecież bardzo zżyta z dziadkiem.

Silvey skinęła głową. Wciąż miała nachmurzoną minę.

- Tak. Jednak zrozumiałabym to lub przynajmniej próbowałabym zrozumieć. W końcu minęło już pięć lat.

- Oprócz tego chciałam zobaczyć, jak daleko zajdą sprawy...

- Chyba wiem, dokąd zajdą - parsknęła Silvey.

Starsza pani odparowała to spojrzeniem z typową dla niej siłą.

- No dobrze, może chciałam przez jakiś czas zachować to w tajemnicy...

No tak, żeby nacieszyć się miłością. Silvey nie musiała usłyszeć nic więcej, by wiedzieć, że to prawda. W zachowaniu Leili pojawiła się nie znana dotąd miękkość.

- Ale czemu akurat Lawrence Wisdom? On miał przecież cały pułk żon.

Leila, dotknięta do żywego, podniosła się z sofy.

- Nie bądź śmieszna. Te młode idiotki służyły mu wyłącznie do zaspokajania męskiego ego. Reprezentacyjne żony. Chciały od niego wyłącznie alimentów. Już mu wyjaśniłam, że nie interesują mnie jego pieniądze.

Silvey zrobiła wielkie oczy.

- Ależ owszem! Dan chyba mówił prawdę, co? Pieniądze na kupno sklepu pochodziły od Lawrence'a.

- Tak. - Leila przyglądała się jasno polakierowanym paznokciom. Potem spojrzała na wnuczkę. - Lawrence powiedział, że poinformował syna o doskonałej inwestycji, jaką dziś zrobił, ale chłopak wybiegł jak szalony, nie czekając na dalsze wyjaśnienia.

I pognął do sklepu. Silvey w zamyśleniu ujęła w palce dolną wargę. Nic dziwnego, że Dan był wściekły.

- Dla niego to rodzaj dobrej inwestycji - dodała pospiesznie babcia, widząc zaniepokojenie Silvey. - Będziesz musiała go spłacić.

- Oczywiście, ale...

- Nie ma żadnego ale. To uczciwy interes. Jego prawnik sporządzi stosowną umowę, a my wynajmiemy jakiegoś, żeby ją przejrzał.

Brzmiało to nieźle, ale Silvey wciąż nie była przekonana. Jak mogła pożyczać pieniądze od Lawrence'a Wisdoma? Nawet go nie знаła.

Leila przyglądała się chmurnej minie wnuczki.

- Nie martw się, kochanie. Chociaż nie piszą o tym w jego biografii, Lawrence pomógł wystartować wielu młodym ludziom.

- A czy umawiał się z ich babciami?

- To czysty interes.

- Z wątpliwymi zyskami.

- Owszem. Dla mnie.

Silvey zobaczyła satysfakcję i radość emanującą z twarzy babci. Czując się trochę niezręcznie, wstała i powiedziała coś o potrzebie snu. Powoli poszła w stronę swojego pokoju.

Cała ta awantura wymagała szybkiego wyjaśnienia i nie tylko ona jedna miała zamiar to zrobić. Dan Wisdom również.

Rzucając w myślach inwektywy pod adresem człowieka, który szermował takimi określeniami jak „łowczyni posagu” czy „naciągaczka”, zaczęła szykować się do spania.



Następnego ranka Silvey zwlekła się z łóżka i poszła pod prysznic. Działając pod wpływem impulsu, namydliła głowę, potem długo stała pod strumieniem wody. Zaniepokojenie romansem babci z Lawrence' em Wisdomem i moralna rozterka dotycząca pożyczki szybko wyparły z niej resztki senności.

Potem ubrała się i zeszła do kuchni, gdzie przyrządziła sobie grzanekę i kawę. Wzięła leżącą pod drzwiami gazetę i jedząc, przeglądała nagłówki. Po chwili z westchnieniem zwinęła ją i odłożyła na bok. W doniesieniach krajowych nie było nic równie fascynującego, jak romans własnej babki z podstarzałym aktorem, właścicielem kolekcji byłych żon.

Usłyszała dzwonek do drzwi i głos babci. Po chwili Leila zjawiła się w kuchni. Za nią podązał Lawrence. Leila miała na sobie dopasowane czerwone spodnie i białą bluzę o wojskowym kroju. Z kolei Lawrence, ubrany w błękitną bluzę i białe spodnie, prezentował się jak żywcem wyjęty z magazynu mody męskiej.

Czemu nie wygląda na swoje lata, zastanawiała się z pretensją, ale jednocześnie i z podziwem Silvey. Mógłby mieć przynajmniej jakieś lekkie oznaki rozwiązłego życia.

Z poczuciem winy odpędziła od siebie te myśli. Pragnęła zachować otwartą postawę wobec związku babci. Przesłała mu nieśmiały uśmiech. Z oczu Lawrence'a znikło zaniepokojenie.

- Dzień dobry.  
- Dzień dobry - zagrział głębokim barytonem. - Wprosiłem się na śniadanie.

Leila obdarzyła oboje rozkosznym uśmiechem i natychmiast zaczęła szperać w lodówce. Lawrence poprosił o jajka na beko-

nie, lecz skarciła go wzrokiem.

- Nie bądź śmieszny. Mężczyzna w twoim wieku nie potrzebuje tyle cholesterolu. Siadaj. Dostaniesz melona i pełne ziarna zbóż z chudym mlekiem.

Silvey przyglądała się z podziwem, jak Lawrence z rezygnacją wzruszył ramionami, usiadł i wziął gazetę. Jeden ze sławnych, współcześnie żyjących aktorów nie tylko zasiadł przy ich kuchennym stole, ale bez szemrania słuchał poleceń babci. Nagle złapała się za gardło. Jeśli nie będzie uważała, gotowa się zakrzusić. To wszystko było ponad siły normalnej kobiety. Wzięła głęboki wdech i napiła się kawy.

Po otrząśnięciu się z pierwszego szoku, zaczęła dostrzegać, jak piękną parę tworzyła ta dwójka. Dyskutowali, omawiali wiadomości z gazety, jedli zimne, cienkie platy miodowego melona, potem pocałowali się i zabrali do przyrządzania ziaren zbóż. Wydało się jej oczywiste, że babcia bardzo pasuje do tego mężczyzny. Nie mizdrzyła się. Była dojrzałą kobietą o własnych poglądach.

Pogrążona w myślach, nie zwracała uwagi na rozmowę, dopóki nie padło imię Dana.

- Chłopak wcale nie chce mnie słuchać - mówił Lawrence, popijając kawę. - Tłumaczyłem mu, że nikt nie zamierza mnie wykorzystać, wy zresztą najmniej, ale on upiera się, twierdząc, że wie, co jest dla mnie dobre.

Silvey zabębniła palcami po stole, myśląc z niechęcią o tym nadopiekuńczym synu.

- Widocznie jest w szoku - westchnęła Leila. - Daj mu trochę czasu.

- Nie mam czasu. Chcę załagodzić sprawę; zanim wrócę w przyszłym miesiącu do Los Angeles. Muszę się w pełni skoncentrować nad cholernie trudną rolą w miniseriale. W dodatku



życie jest zbyt krótkie, by tracić czas na kłótniach z własnym synem. Wystarczająco zaniedbywałem go, kiedy był młody. Całymi latami byliśmy sobie obcy. Nie mogę znów do tego dopuścić.

Leila współczująco pokiwała głową.

- Spróbowałabym z nim porozmawiać, ale oczywiście nie zechce mnie słuchać.

Umilkli na chwilę i Silvey skorzystała z okazji, żeby wypowiedzieć się w palącej kwestii.

- Panie Wisdom... Lawrence... Co w sprawie pożyczki? Rozpromienił się natychmiast i ciepłym gestem uściśnął jej ramię.

- Nie musisz mi dziękować. Zrobiłem to z przyjemnością. Lubię czasem zrobić coś pożytecznego z moimi pieniędzmi, zamiast wyłącznie przesyłać je moim byłym żonom, które kupują za nie skóry zagrożonych gatunków zwierząt. - Wzrok mu się zaszklili. - Chciałem to zrobić dla Leili. Martwi się o twoją przyszłość.

Popatrzyła na nich z niedowierzaniem. Jeśli Lawrence zamierzał ją przekabacić, prawie mu się to udało. Jak mogła odmówić przyjęcia pożyczki, skoro znaczyło to tak wiele dla babci?

- Ale pański syn wydaje się....

- Kocha mnie, choć Bogiem a prawdą wcale na to nie zasłużyłem. - Przystojna twarz Lawrence'a rozplynęła się w uśmiechu. - Kiedy w zeszłym roku przeprowadziłem się tu po rozwodzie, byłem psychicznym wrakiem. - Szybko zerknął na Leile, która uśmiechnęła się współczująco. - Dan pomógł mi się pozbierać i wówczas staliśmy się sobie bliscy. Popełniłem błąd, nie mówiąc mu o Leili. Niestety, akurat wyjechał i wiedziałem, że będzie się martwił, że znów wpakuję się w kłopoty.

Bez żartów, pomyślała Silvey, podpierając brodę rękoma.

- Teraz jest zły, do czego ma pełne prawo. W dodatku niepokoi się, a ja najwyraźniej nie potrafię znaleźć uspokajających go argumentów.

Silvey, zamyślona nad Danem, dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że oboje milczą i przyglądają się jej wyczekująco. Popatrzyła na nich czujnym spojrzeniem brązowych oczu.

- Co też wam przyszło na myśl?
- Jesteś młoda, czarująca... - zaczął wymijająco Lawrence.
- I doskonale nadaję się do roli kozła ofiarnego - dokończyła. - O, nie. Lepiej wybijcie to sobie z głowy. - Podniosła obronnym gestem rękę. - Już od dawna zaprzestano wrzucania młodych kobiet do ziejących ogniem wulkanów.
- Ciebie być może posłucha - upierała się Leila.
- Mnie? On mnie nienawidzi. Nazwał mnie przecież... no mniejsza z tym - mruknęła. - Nie posłucha mnie.
- Kochanie, proszę, zrób to dla mnie.

Zrezygnowana Silvey napotkała błagalne spojrzenie Leili.

Wiedziała, że babka zrobiłaby dla niej wszystko.

- Dobrze, spróbuję - wydusiła po chwili.

Oboje zaczęli rozpylić się w podziękowaniach, a Silvey nabierała coraz większej pewności, że wie, jak czuł się biblijny Daniel, kiedy udawał się do jaskini lwa.



Silvey podziękowała studentowi, który wyjaśnił jej, gdzie znajduje się biuro Dana, i weszła do budynku administracyjnego. Przez całą drogę układała sobie w myślach swoje wystąpienie. Tym razem raczej należało oddać głos rozumowi niż uczuciom.

Podczas rozmowy będzie chłodna i opanowana. Jadąc tu, zastanawiała się nad tym, jakim człowiekiem jest Dan. Opiekuńczy, przynajmniej jeśli chodzi o ojca. Bezceremonialny. Nie pozostawił najmniejszych wątpliwości, co myślał o niej i jej

babce. Chociaż mocno ją to zabolalo, próbowała spojrzeć na

sprawę z dystansu.

Ktoś szedł korytarzem i w pierwszej chwili wydawało się jej, że to Dan. Kiedy zbliżyła się, zobaczyła, że był to mężczyzna o szczupłej sylwetce i ciemnych, latynoskich oczach.

Zamrugła oczyma ze zdumienia.

- John! John Ramos!

Mężczyzna zatrzymał się i ze źle skrywanym zniecierpliwieniem przyglądał się uśmiechniętej od ucha do ucha kobiecie. Najwyraźniej jej nie poznawał.

Pełen oczekiwania uśmiech nieznajomej zaczynał wprawiać go w zakłopotanie, gdy nagle w jego oczach błysnęło zrozumienie.

- Silvey! Co tu robisz? - Podskoczył i uściskał ją serdecznie. - Nie widziałem cię od ukończenia szkoły.

Uszczęśliwiona dziewczyna ujęła go za ręce i szybko opowiedziała o wszystkim, co się jej przytrafiło od czasów szkolnych.

- A teraz kupuję swój własny interes - dodała jednym tchem. - A co u ciebie?

- Zawsze potrafiłaś upchać więcej słów w małym wycinku czasu niż ktokolwiek inny - uśmiechnął się John. - Co porabiam? Uczę historii. Kończę doktorat i pracuję jako asystent.

- Ożeniłeś się?

Wykrzywił swą przystojną twarz.

- Ożeniłem i rozwiodłem. Dwukrotnie.

- Wielki Boże, nawet nie masz trzydziestki. Powinieneś zacząć uważać.

- Wiesz, Silvey, sumy, jakie płacę moim byłym żonom, skutecznie odstraszą mnie od kobiet. A wszystko to twoja wina. Nigdy nie przeboleiałem, że dałaś mi kosza podczas promocji do ostatniej klasy.

- To tylko wymówki. - Machnęła ręką. - Prawda była taka, że znałam twoją renomę, jeśli chodzi o dziewczyny.

- Mianowicie?
- Że nie umiesz utrzymać rąk przy sobie.

Roześmiali się oboje i John ponownie ją uściśkał. Silvey odchyliła się, by złapać równowagę i znalazła się twarzą w twarz z Danielem Wisdomem.

Zamurowało ją, w szeroko otwartych oczach malowało się zaskoczenie. Zupełnie o nim zapomniała.

- O - powiedziała cicho. - Cześć.
- Czyżbym w czymś przeszkadzał? - spytał chłodnym tonem. Zerknął na obejmujące ją w pasie ręce Johna, potem znów na zaróżowioną twarz Silvey.

Wyrwała się z objęć Johna, po czym natychmiast zaczęła wyrzucać sobie, że zachowuje się tak nerwowo. John, wciąż uśmiechnięty, puścił ją.

- Hej, Dan - powiedział. - Nie wiedziałem, że jeszcze ktoś tu jest. Przepraszam, jeśli ci przeszkadziliśmy.

- Właściwie to przyszedłam, żeby zobaczyć się z doktorem... z Danem - odezwała się Silvey.

John spojrzał na mało przychylny wyraz twarzy Dana.

- Rozumiem - rzekł i zerkając podejrzliwie na Silvey, przybrał mniej przyjazną minę. - Nie zatrzymuję. Cześć, Silvey. Przedzwonię któregoś dnia.

- Jasne, John - mruknęła, patrząc w ślad za nim.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - zauważył Dan.

Uniosła głowę i ściągnęła usta.

- Przepraszam, ale nie rozumiem.
- Jaka babka, taka wnuczka. Czy uwodzi pani każdego napotkanego mężczyznę?

Wściekłość odebrała jej jasność wyrażania się.

- John Ramos jest moim starym szkolnym kolegą. Byliśmy razem w ogólniaku. Mamy wspólne zainteresowania.

- No tak, właśnie je widziałem. - Odwrócił się i poszedł

w głąb korytarza. - Jeśli ma pani do mnie sprawę, proszę przejść

do mojego biura.

Najwyraźniej spodziewał się, że Silvey grzecznie pójdzie za nim jak pokorne ciele. Tymczasem dziewczyna skrzyżowała ręce na piersi i stała jak przyśrubowana do podłogi.

Dan zorientował się, że Silvey nie ruszyła się z miejsca.

- Coś nie w porządku? - spytał przez ramię.

- Pan jest nie w porządku - odparła. - Przyszłam tu, żeby z panem porozmawiać, a nie po to, by mnie pan upokarzał.

W pierwszej chwili Dan nie dał po sobie poznać, jakie wrażenie zrobiła na nim zdecydowana postawa Silvey. Skłonił tylko lekko głowę.

- Proszę o wybaczenie. Czy teraz możemy już kontynuować w moim gabinecie? - Pokazał na drzwi.

Udobruchana, lecz nie do końca usatysfakcjonowana, Silvey obdarzyła go królewskim ukłonem i ironicznym tonem powiedziała:

- Oczywiście, sir. Służę panu.

Wymagało to od niej wysiłku, ale była przecież kobietą, która potrafi zignorować paskudną osobowość Dana i zachować spokój. Zerknęła na niego spod oka, przyznając, że sporo odziedziczył z uroku osobistego ojca.

Idąc za nim, myślała z irytacją, że Dan wygląda jak prawdziwy profesor. Nigdy nie studiowała i jej wyobrażenia o tym, jak ubierają się profesorowie, okazały się mało przystające do rzeczywistości, niemniej musiała przyznać, że Dan wyglądał godnie. Miał na sobie spodnie khaki, białą koszulę, ciemny krawat z dyskretnym wzorem i lekką letnią marynarkę.

Dzięki temu wyglądał bardziej na osobę urzędową niż na obiekt jej niechęci. Rozejrzała się dokoła, bo zawsze lubiła wiedzieć, jakimi przedmiotami otaczają się ludzie. Pomagało jej

to w odgadywaniu ich osobowości. W przypadku Dana mogło to być szczególnie interesujące.

Wewnątrz ujrzała ściany udekorowane dyplomami i fotografiami. Wzdłuż jednej ciągnął się zastawiony książkami regał.

Wpadła jej w oko znajomo wyglądająca okładka i Silvey uśmiechnęła się. Sięgnęła po książkę, ciesząc się, że będą mogli o czymś porozmawiać, nie klóćąc się.

- Lubi pan książki D. K. Wilinsona? Ja również, chociaż z początku nie byłam tego taka pewna - zachichotała. - Chodzi mi o tę zagadkę kryminalną z epoki prekolumbijskiej. Kto by przypuszczał, że będzie to takie zajmujące? Intryga była szczególnie interesująca z tego powodu, że wszystko rozgrywało się w społeczeństwie praktykującym składanie ofiar z ludzi. Wytłumaczenie, jak bardzo zwykły mord różnił się w mentalności tych ludzi od rytualnego, było równie fascynujące, co przerażające... - Spojrzała na niego i natychmiast przerwała wywód.

Z przechyloną na bok głową Dan sprawiał wrażenie, że słucha jej z ciekawością.

- Przepraszam - uśmiechnęła się nieśmiało. - Trochę się rozgadałam.

Silvey odwróciła książkę i zamarała, wpatrując się w fotografię autora na tylnej okładce.

- Pan jest autorem tej książki? - spytała zdumiona. Spoglądała to na zdjęcie, to na Dana. - Wilinson to pana literacki pseudonim?

- Zgadza się - skinął głową - chociaż nie wydają zbyt wiele tego typu książek.

- Czemu? - spytała, odstawiając książkę na półkę. - Ta całymimi tygodniami utrzymywała się na liście bestsellerów.

- Jestem z niej bardzo dumny, podobnie jak z innych moich książek, ale nie pociąga mnie pisarska sława. Pieniądze,

owszem, przydały się. Poszły na opłacenie moich archeologicznych zainteresowań. - Pokazał na ścianę za plecami Silvey.

Dziewczyna odwróciła się i otworzyła usta ze zdumienia.

Od podłogi do sufitu ciągnęły się szklane półki pełne ceramiki, wyrobów z wikliny i rękodzieła. Prześlizgiwała wzrokiem od rzadkich lalek kaczina, wyobrażających bogów Hopi, przez liczącą sobie co najmniej tysiąc lat ceramikę Hohokam i Anasazi, po motyki używane przy sadzonkach. Były tam dziesiątki innych przedmiotów, które mogły pochodzić z jednego tylko źródła - grobów prekolumbijskich.

Kiedy odwróciła się w stronę Dana, zmierzyła go oskarżycielskim spojrzeniem. Wojowniczo zadarła podbródek.

- Czego to niby jesteś doktorem?
- Antropologii kulturalnej, bo co? - odparował zadziornie.
- To skąd tu rękodzieło?
- Jak już wspominałem, interesuje mnie również archeologia.

Jest bardzo podobna do antropologii, z tą różnicą, że nie opiera się na przekazie ustnym.

- I tak się akurat złożyło, że uczelnia w Sonorze ubiega się o rządowe zezwolenie na odkopywanie starych grobów Indian Moreno. Ciekawe, co? A pan pewnie jest jednym z ubiegających się o to, prawda?

Powoli skinął głową, obserwując, jak nos Silvey zaczyna się gniewnie marszczyć.

- Czy to pani w czymś przeszkadza?
- Owszem. Moim zdaniem jesteście zwykłymi rabusiami grobów.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Dan cofnął podbródek i spojrzał gniewnym wzrokiem na dziewczynę.

- Chyba nie należy pani do tych ludzi, którzy uważają, że przeszłość powinna zostać pogrzebana? Nie sądzi pani, że powinniśmy się czegoś nauczyć od tamtych ludzi?

- Uważam, że moi przodkowie powinni spoczywać w spokoju w swoich świętych górach... Mają do tego prawo.

- Pani przodkowie?

- Owszem. Mój dziadek pochodzi z plemienia Moreno.

- Więc powinno pani zależeć, by jej dzieci dowiedziały się czegoś o ludziach, od których się wywodzą.

- Nie mam dzieci.

- Na razie. - Triumfalnie skrzyżował ramiona.

Silvey zrobiła to samo, odpowiadając gestem na gest, spojrzeniem na spojrzenie.

- Istnieją federalne przepisy zabraniające prowadzenia wykopalisk - zauważyła, czerwieniąc się ze złości.

- Chyba że miejsce jest zagrożone przez zmiany środowiskowe lub złodziei...

- Czy nie z takim przypadkiem mamy właśnie do czynienia?  
- wtrąciła zjadliwie, ale Dan zignorował to.

- Może być wydana zgoda na prowadzenie wykopalisk.

- Nie macie prawa wykopywać tych ludzi i bezcześcić wszystkiego, co było święte dla tego plemienia.

- To wymarłe plemię - odparował z błyskiem w oczach.



- Owszem, to plemię dawno temu zostało wchłonięte przez inne, ale są ludzie tacy jak ja, którzy nie chcą, by bezczeszczono groby ich przodków.

Choćby Leila i jej paru przyjaciół. Niedawno dowiedzieli się o planach odkopania indiańskiej nekropolii, a Silvey popierała ich sprzeciw. Postanowiła, że nie powie Leili o udziale syna Lawrence'a w staraniach o zezwolenie na badania. Babcia mogła zresztą nie wspominać o tym, bo nie chciała zrywać z Lawrence'em.

Leila. Lawrence.

Z bólem serca uświadomiła sobie, że właśnie pokłóciła się z osobą, którą miała ugłaskać miłymi słówkami. Gorączkowo zastanawiała się, jak z tego wybrnąć, ale Dan miał pod ręką dodatkowe argumenty i parł do przodu.

- Wolałaby pani prawdziwe hieny cmentarne zamiast nas? Jediną przyczyną tego, że cmentarzysko na górze Branaman pozostało dotąd nienaruszone jest zainstalowanie u podnóża ruchomych platform pocisków balistycznych. Wojsko tak pilnuje każdego krzaczka, że nie ma co lękać się złodziei.

Popatrzyła na niego pojednawczo. Cholera, czemu nie ugryzła się w porę w język? Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, była kolejna kłótnia z tym człowiekiem.

- No cóż, nie wiedziałam...

Na to tylko czekał, by przejść do kontrataku.

- Na tym polega cały problem. Nie wie pani, czy cokolwiek zostało naruszone, i nigdy się o tym nie dowie, jeśli nie zostanie odkopane i dokładnie zbadane. Zajmę się tym z moim zespołem - zakończył, z irytacją przeczesując włosy.

Silvey zwilżyła wargi końcem języka. Miała wrażenie, że przypominają w dotyku papier ścierny.

- Cóż, to wszystko jest niesłychanie interesujące, ale przyszedłam tu w zupełnie innej sprawie.

- To nie ja zacząłem! - odciął się.

Zamiast odpowiedzi, uśmiechnęła się nieśmiało.

- No dobrze - westchnął ciężko. - Co zatem sprowadza tu panią, jeśli nie amatorskie kaznodziejstwo?

- Czy mogę usiąść? - spytała, uśmiechając się nieśmiało.

Przyglądał się jej bacznie przez kilka sekund. Ciekawość walczyła w nim z chęcią postawienia na swoim.

- Proszę się rozgościć - mruknął wreszcie, wskazując na krzesło naprzeciwko biurka. Sam przycupnął na rogu blatu.

Silvey usiadła i złożyła ręce. Po chwili je rozluźniła.

- Prawda jest taka, że przyszłam przyznać panu rację. Pie-  
niądze na kupno sklepu pochodzą od pańskiego ojca. - Dan  
drgnął, lecz Silvey gestem uspokojenia uniosła rękę. - Chwile-  
czkę! Jest jednak inaczej, niż pan myśli. To tylko pożyczka.  
Mam zamiar spisać formalną umowę zawierającą dokładne ter-  
miny spłat. - Jeszcze o tym z nikim nie rozmawiała, ale za-  
brzmiało to nie najgorzej. - Jestem dobrym organizatorem  
i zdolną sprzedawczynią. Mogę odnieść sukces.

- Wydaje się pani bardzo pewna siebie.

- Bo jestem - odparła stanowczym tonem.

- Proszę mi opowiedzieć o swoich planach. - Przechylił na bok głowę.

Silvey usiadła wygodniej. Szło lepiej, niż mogła przypusz-  
czać, zważywszy na popełnioną na wstępie gafę. Wyjaśniła skalę  
dotychczasowej i planowanej sprzedaży. Mówiła o swoim do-  
świadczeniu i o personelu. Entuzjazm tryskał z każdego jej sło-  
wa.

Dan, słuchając, rozluźnił się nieco.

- Wygląda na to, że dobrze odrobiła pani lekcję.

- No cóż, to w końcu źródło mego utrzymania. Zamierzam  
ciężką pracą osiągnąć sukces. Wydaje mi się, że mogłabym  
poszerzyć zakres działalności. - Tu nastąpiła kolejna entuzja-  
styczna litania.

Dan obronnym gestem uniół ręce.

- Dobrze już, dobrze, wierzę pani. - Drgnęły mu kąciki ust i jakby pozwalając sobie na miłe zachowanie, odprężył się i uśmiechnął.

Silvey odwzajemniła uśmiech. Znow przyszło jej na myśl, że Dan jest przystojnym mężczyzną. Zachowywał się co prawda z rezerwą, jakby chciał panować nad swoimi emocjami. Jednego tylko nie zdołał ukryć - swej zapalczywości. Zauważyła jeszcze, że twardo obstawał przy przekonaniach i działał zgodnie z nimi.

- A co na to pani rodzice? A babcia? Nie jest pani przypadkiem za młoda, żeby prowadzić własny interes?

- Jestem praktycznie samodzielna, odkąd ukończyłam osiemnaście lat. - Wzruszyła ramionami. - Rodzice są przekonani, że wiem, co robię.

- Chciałbym w to wierzyć - mruknął.

- Mam tego dowieść? - westchnęła.

- Tak.

- I oczekuje pan pewnie, że babcia zrobi to samo?

- Nie przeczę.

- Rozumiem, że ma pan powody do zdenerwowania i obaw.

Jednak moja babcia nie jest bezmyślną młodą lalunią polującą na pieniądze Lawrence'a. Gdyby ją pan poznał bliżej, przekonałby się, że pieniądze pańskiego ojca wcale jej nie interesują.

Dan przyglądał się Silvey przez kilka sekund.

- Zamierzam to zrobić. Zacznę od dzisiejszego wieczoru. Wybierzemy się w czwórkę gdzieś, gdzie będę mógł lepiej poznać pani babcie.

- Dziś wieczorem? - Była oszołomiona nagłym zwrotem sytuacji.

- Ma pani jakieś zastrzeżenia?

Silvey przypomniała sobie, że postanowiła poznać Dana od lepszej strony.

- Nie, nie. To... brzmi interesująco.
- Czy ma pani kogoś, kto zamknie sklep?

Nie zabrzmiało to jak prośba. W normalnej sytuacji Silvey oburzyłby ten ton, ale mając na uwadze szczęście Leili, powściągnęła złość.

- Tak, oczywiście, od tego jest personel.
- Świetnie. - Zerwał się z biurka. - Zadzwoń w sprawie rezerwacji. Domyślam się, że ojciec jest u was.

Słyszając jego władczy ton, Silvey również wstała, ale przytrzymała się oparcia krzesła. Nagła zmiana nastroju zbiła ją nieco z tropu.

- Tak. Jest tam.
- Zorganizuję wszystko. Przyjadę z ojcem po panią i pani babkę o siódmej. - Sięgnął po słuchawkę. -I jeszcze jedno.
- O co chodzi? - spytała ostrożnie.
- Mój ojciec nie udzielił pani tej pożyczki, tylko ja.
- Słucham? Nie rozumiem... - Zamrugowała ze zdumienia.
- Fakt, że to ja udzielię pożyczki, rozwiąże cały problem zobowiązań finansowych wobec mojego ojca.
- Czy będzie lepiej, jeśli stanę się pańską dłużniczką?
- Tak, jeżeli powiedziała pani prawdę, twierdząc, że przedmiotem zainteresowania pani babki jest mój ojciec, a nie jego pieniądze.

Silvey zgrzytnęła zębami.

- To prawda, ale nie jestem pewna, czy wolałabym pożyczać od pana. Zresztą, pieniądze już wpłynęły na moje konto.

Dan uniósł jedno ramię, jakby chciał wykonać jakiś gest, lecz wzrok miał nadal niewzruszony.

- Więc wystarczy je wycofać i przekazać z powrotem na konto mojego ojca. Chyba że już je pani wydała.

- Nie - wycodziła przez zęby. - Nie wydałam.
- Zatem moja oferta jest nadal aktualna. Decyduje się pani, lub nie, panno Carlton. To jedyny interes, jaki uda się pani ubić z Wisdomami.

Silvey postanowiła zachować zimną krew. Jeśli znów straci panowanie nad sobą, narobi babci niekichych kłopotów. O co zresztą walczyć, skoro Dan sam zaproponował jej pożyczkę? Nie mogła otwarcie przyznać, że woli pieniądze od jego ojca, bo potwierdziłaby jedynie jego opinię o kobietach z rodu Carltonów. Oprócz tego mógłby jej odpowiedzieć, że wokół jest mnóstwo, kobiet, które czyhają na pieniądze jego ojca.

Po paru sekundach ciszy Silvey skinęła głową.

- Zgoda. Umowa stoi.

Dan zamasyście uściśnął jej rękę. Silvey szybko wyrwała swoją, lecz zdążyła zarejestrować w świadomości, że młody Wisdom miał niespodziewanie mocną i twardą dłoń jak na kogoś, kto zdawał się badać otaczający go świat zza biurka.

Z irytacją stwierdziła, że wszystko było w nim nietypowe. Nie potrafiła go rozszyfrować, bo wciąż zbijał ją z tropu. Usiłowała podsumować go jednym zdaniem, ale nawet gdy zebrała wszystkie dotychczasowe określenia, typu: nadopiekuńczy syn, antropolog, archeolog, literat, to razem wzięte nadal nie odzwierciedlały istoty Dana.

- Czemu pani tak mi się przygląda? - Uniósł brew. Poczula, że się rumieni, ale wytrzymała jego spojrzenie.

- Myślałam o tym, że trudno pana zaklasyfikować.
- A pani usiłuje to zrobić?

Powiedział to w taki zabawny sposób, że zrobiło się jej głupio, ale zadarła dumnie głowę.

- Tak. W końcu to z panem mam podpisać umowę.
- Rzeczywiście. Jednak z tego powodu nie musimy rozumieć osobowości drugiej strony.

Silvey, słuchając go, przechyliła na bok głowę. W jego tonie było coś, co nie dawało jej spokoju. Brzmiało to tak, jakby chciał trzymać ją na dystans. Nie przywykła do takiego traktowania przez mężczyzn. Miała wielu chłopców i nawet gdy związek rozpadł się, pozostawała z nimi w przyjacielskich stosunkach. Nie wyobrażała sobie spotkania z mężczyzną, który tak otwarcie wzdrygał się poznać ją bliżej. Ubodło ją to w takim stopniu, że postanowiła się odgryźć.

- Sądzę, że powinniśmy się poznać bliżej, zwłaszcza jeśli babcia i Lawrence postanowią się pobrać.

Dan naburmuszył się, a Silvey, objąwszy się jedną ręką w pasie, drugą wsparła podbródek i dalej snuła swoje rozważania.

- To kim pan dla mnie wtedy będzie? Urzędowym wujkiem?

- Mało prawdopodobne - odparł wzburzony Dan. - Zrobię, co w mojej mocy, aby zapobiec temu małżeństwu.

- Być może nie da pan rady.

Niebieskie oczy Dana pociemniały, przybierając barwę nocnego firmamentu.

- Zobaczmy. Na razie proszę ich nie zachęcać.

Z tego, co zaobserwowała Silvey, ta para wcale nie potrzebowała zachęty! Ugryzła się w język. Po co źle nastawiać Dana? Skinęła głową.

Widząc jej brak entuzjazmu, dodał pospiesznie:

- Chciałbym zobaczyć preliminarz budżetowy sklepu. Dopiero wtedy podpiszę umowę.

Upłynęło kilka sekund, zanim Silvey zorientowała się w zmianie tematu.

- Preliminarz budżetowy? No... oczywiście - odparła, starając się, by zabrzmiało to rzeczowo. - Zajmę się tym niezwłocznie.

Dan podszedł bliżej i popatrzył na nią.

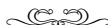
- No, to do zobaczenia wieczorem.

Silvey odwróciła się i stojąc już w progu, dotknęła w zamyśleniu palcami czoła.

- Dziś o siódmej. Co mam włożyć?

Dan otworzył przed nią drzwi i znów ujrzała przelotny uśmiech, jakby wszelkie nieporozumienia między nimi były tylko iluzją.

- Pantofelki do tańca.



- Coś mi mówi, że nie będzie to normalna piątkowa randka - mruknęła Silvey, gdy stojąc w progu, obserwowała zbliżających się mężczyzn.

Kiedy umawiała się z Danem, nie przypuszczała, że wraz z Lawrence'em przyjadą eleganckim, lśniącym rolls-royce'em. Jakby tego było mało, obaj panowie włożyli białe smokingi.

Dan bezbłędnie odczytał zdumione spojrzenie dziewczyny.

- Ojciec nalegał - powiedział, pokazując na smoking i zaprasowane na brzytwę kanty czarnych spodni.

- Rozumiem - odparła nieśmiało, lustrując wzrokiem tego przystojnego mężczyznę. Dobrze skrojony smoking poszerzał ramiona i zwęzał talię Dana. Dyskretna woń wody kolońskiej drażniła jej zmysły. Nie bardzo wiedziała, za co zniechęciła go poprzedniej nocy, za to doskonale pamiętała, czemu dziś rano wydał się jej przystojny.

- Silvey, może wreszcie zaprosisz ich do środka? - spytała z rozbawieniem w głosie Leila.

Zawstydzona swoim zachowaniem, Silvey zaczerwieniła się i cofnęła gwałtownie.

- Oczywiście. Proszę bardzo.

Lawrence i Leila natychmiast obsypali się nawzajem komplementami i uściskali serdecznie. Silvey pomyślała z satysfakcją, że jej babcia wygląda wspaniale w szykownej czerwonej sukni o wyłogach zdobionych cekinami.

Dan przyglądał się im z pochmurną miną, wreszcie zwrócił się w stronę Silvey. Obejrzał uważnie jej krótką zieloną satynową sukienkę, mocno zebraną w pasie, o luźnej górze. Potem zwrócił uwagę na włosy, które zwykle sięgały ramion, lecz teraz skrócone w loki były zaczesane do tyłu.

- Mam nadzieję, że to był dobry pomysł.
- Wydaje mi się, że tak - mruknął z aprobatą.

Silvey poczuła, jak uginają się jej nogi. Znow ją zaskoczył i musiała przyznać, że pochlebna opinia Dana zrobiła na niej piorunujące wrażenie.

- Gotowi do wyjścia? - spytał stentorowym głosem Lawrence, przerywając wzajemne zapatrzenie Silvey i Dana. Oboje cofnęli się gwałtownie, mrugając jak ludzie po wyjściu z ciemnej jaskini.

- Oczywiście - odparła zadyszana nagle Silvey.

Kiedy obie z babcią szykowały się do wyjścia, sprawdzając zawartość małych torebek, starała się nie patrzeć na Dana.

Zamknęli drzwi i poszli do rolls-royce'a, robiąc przy okazji zamieszanie wśród sąsiadów, którzy wylegli przed domy i gorączkowo wyciągając węże, udawali, że zajmują się podlewaniem trawników. Silvey i Leila pozdrowiały wszystkich wesoło, zanim zniknęły w czeluściach samochodu.

Gdy wylądowała na tylnej kanapie obok Dana, zaczęła się rozglądać po luksusowym wnętrzu o tapicerce z białej skóry i czerwonego aksamitu, przytwierdzonego listwami, które wyglądały na szczerozłote. Przy każdej framudze znajdował się ozdobny wazonik z białą różą.

Po raz pierwszy Silvey zaczęła poważnie zastanawiać się nad wszystkim, co zaszło do tej pory, i gdzie znalazła się dzięki romansowi babci. Skoncentrowała się na analizie wydarzeń ostatnich dwudziestu czterech godzin. Z tego, co wiedziała, bez



trudu zorientowała się, że wkroczyła w zupełnie inny świat, odległy od tego, do jakiego przywykła.

To prawda, że pieniądze ułatwiają życie, ale pomimo całego bogactwa, Lawrence nie wydawał się szczęśliwy.

No a Dan? D. K. Wilinson swoimi publikacjami musiał nieźle zarabiać, skoro stać go było na amatorskie uprawianie archeologii. Ale czy był szczęśliwy?

Pochyliła się i dotknęła złotej listwy przy framudze drzwi. Nawet palcami wyczuwało się bogactwo.

Podchwyciła wzrok obserwującego ją Dana. Podświadomie cofnęła rękę i spłotła palce na podolku.

- Tak, to prawdziwe złoto - odezwał się, znów kierując na siebie jej uwagę.

- Listwa? Lawrence nie boi się złodziei?
- Rzadko używa tego samochodu.
- Więc jaki jest sens posiadania takiego auta?
- Myślisz, że jego sprzedaż przyniosłaby niezły grosz?

Silvey przez wzgląd na obecność Leili i Lawrence'a powstrzymała cisnącą się jej na usta ostrą odpowiedź.

- Przypuszczam, że możesz tak sobie myśleć od czasu do czasu - odparowała, siląc się na spokój. Ona również przeszła na „ty”.

Dan, słysząc chłodny ton w jej głosie, przymrużył oczy,

- Chyba tak, ale, niestety, dochodzę do innych wniosków.

Silvey popatrzyła mu prosto w oczy, pragnąc powiedzieć coś, co zmieniloby jego opinię o niej i o Leili, ale nie było to łatwe. Dostrzegła w jego oczach tylko niechęć.

Postanowiła ćwiczyć się w cnocie cierpliwości, więc zagłuszyła wszelkie przykre myśli i spojrzała przychylnie na Dana.

Studiowała przez chwilę jego idealnie skrojony smoking. Nigdy przedtem nie umawiała się z nikim w smokingu, lecz

musiała w duchu przyznać, że szybko przywykłyby do takiego stylu.

Zerknęła na rąbek sukienki. Kupiła ją z małym defektem na wyprzedaży w eleganckim stoisku. Była piękna, lecz nagle Silvey przypomniała sobie, jak zaszywała maleńką dziurkę na dole. To odbierało jej całą przyjemność.

Pytające spojrzenie Dana uświadomiło jej, że mnie materiał. Z wysiłkiem zapanowała nad tym odruchem i oparła się wygodnie. Przecież ten wieczór będzie stanowił zaledwie epizod w jej życiu. Co innego, gdyby ubierała się tak stale i na co dzień jeździła rollsem.

Rozmyślenia Silvey przerwał Lawrence, opowiadając historijkę o tym, jak swego czasu wybrał się z dwunastoletnim Danem na włóczęgę po Meksyku. Ich przygody przypominały film z Flipem i Flapem.

- Właściwie, to szło nam nieźle - przyznał Dan. - Przynajmniej do czasu, aż kobiety w pewnej wiosce rozpoznały tatę i rzuciły się do niego po autograf. Kiedy był zajęty składaniem podpisów, poszedłem się rozejrzeć i natrafiłem na pierwsze w moim życiu wykopaliska.

- Czyżby szukali azteckiego rękodzieła?

Dan skinął głową. W jego wzroku zapłonęła chłopięca i jednocześnie męska fascynacja.

- Kiedy im się przyglądałem, akurat znaleźli złoty medalion. Niewielki, ale doskonały. Połknąłem haczyk - uśmiechnął się.

Silvey przyjrzała mu się ciekawie. Lawrence i Leila pograżyli się akurat w rozmowie.

- No i co? Czy sam znalazłeś coś o wartości historycznej?

- Jeszcze nie. - Rozparł się wygodniej i położył jedną rękę na aksamitnym obiciu kanapy. - Może dopiero na górze Branaman dokonam mego wielkiego odkrycia.

- Może jednak nie.

Widać było, że podjął wyzwanie. Pochylił się ku niej.

- Poczekamy, zobaczymy.
- Bez wątpienia.

Ostatnie słowo należało do niej, lecz zduszony chichot Dana informował ją, że jeszcze nie wygrała.

Wyjrzała przez okno i ucieszyła się, że podjeżdżają do restauracji znanej z międzynarodowej kuchni.

Silvey podziwiała w zachwycie wnętrze restauracji. Obijane ciemnym materiałem ściany, ciężkie adamaszkowe obrusy, porcelanowe nakrycia i srebrne sztuce. Nie miała doświadczenia Leili, nigdy nie była w tak pięknej restauracji. Miała nadzieję, że się nie zblażni.

Widząc, że Dan ją obserwuje, zadarła głowę i pospieszyła za kelnerem, który zaprowadził ich do gabinetu.

Zapowiadała się wspaniała i niesłychanie droga kolacja. Silvey z trudem powstrzymała się od głośnego jęku, kiedy zobaczyła ceny w karcie.

Po złożeniu zamówienia ostrożnie upiła łyżeczek wina i wsłuchała się w rozmowę, którą prowadziła pozostała trójka.

Dan wypytywał Leilę o przebieg jej kariery w cyrku i o jej obecną pracę społeczną. Silvey siedziała spokojnie, do chwili kiedy zorientowała się, że jego pytania wykraczają poza zwykłe zainteresowanie. Bardziej przypominały przesłuchanie.

Wyprostowała się i zmierzwszy Dana surowym spojrzeniem, zwróciła się do jego ojca.

- Panie Lawrence, może opowie nam pan o roli w nowym miniseriale.
- Ojciec nie lubi opowiadać o swoich rolach, dopóki nie złączą się zdjęcia. - Dan nie dopuścił ojca do głosu. - Twierdzi, że odbiera mu to potencjał twórczy. Powiedz nam, Leilo, czemu postanowiłaś zostać działaczką społeczną? Miałaś bardzo pracowite życie. Nie uważasz, że przydałby ci się odpoczynek?

- Babcia twierdzi, że aktywne życie pomaga jej zachować młodość - odezwała się poirytowana Silvey.

- Jak widać, to naprawdę działa - zauważył Dan.

Leila odwdzięczyła się mu nieśmiałym uśmiechem. Lawrence rozpromienił się. Kiedy ci dwoje patrzyli sobie czule w oczy, Silvey zmarszczyła nosek, jakby poczuła jakiś swąd.

Dan zerknął na nią znad kieliszka.

Silvey zakaszłała, jakby zakrztusiła się win<sup>^</sup>m. W rzeczywistości zdenerwowała ją taktyka Dana i aż paliła się, by powiedzieć mu, co o tym sądzi.

Na szczęście podano jedzenie i to uratowało ją od palnięcia głupstwa.

Kiedy zbierali się do wyjścia, Dan wyjął książeczkę czekową, żeby uregulować rachunek. Silvey naumyślnie zrzuciła na podłogę trzymaną na kolanach torebkę. Pod pretekstem podnoszenia jej, nachyliła się i obejrzała książeczkę czekową z dość bliska, by zapamiętać adres i numer telefonu. Dan spojrział na nią ze zdziwieniem, lecz Silvey jedynie uśmiechnęła się.

W tę niewinną grę należy grać we dwoje.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Niespiesznie wracali z restauracji, a kiedy już znaleźli się pod domem, Leila i Lawrence dali do zrozumienia, że chcą choć przez chwilę zostać sami. Silvey nieco się ociągała i tym razem Dan postanowił dać im nieco prywatności. Pomógł Silvey wysiąść z auta i dziewczyna - prosta jak struna - ruszyła w stronę ganku. Dan wziął od niej wyjęte z torebki klucze i otworzył drzwi.

- Nie boisz się, że jak będziesz taka sztywna, to ci kręgosłup pęknie? - spytał, odchylając się lekko, by się jej lepiej przyjrzeć.

- A ty nie martwisz się, że zyskasz sobie opinię człowieka dwulicowego?

- A czemuż to?

- Myślałam, że idziesz z nami, by dać szansę babci, ty jednak wzięłaś ją w krzyżowy ogień pytań. Nie zdziwiłabym się, gdybyś pomagał sobie przy tym przesłuchaniu, świecąc jej w oczy żarówką lub podglądając zza półprzezroczystego lustra.

- Przesadzasz - parsknął. - Okazałem wyłącznie uprzejme zainteresowanie.

- Uprzejmość - zachnęła się, odrzucając gwałtownym ruchem głowę do tyłu. Kilka loczków wymknęło się z misternej fryzury. Zmieszana, poprawiła włosy. - Uprzejmość nie jest tu właściwym słowem.

- Założę się, że znalazłaś już odpowiedniejsze.

- Tak. Osądzenie. - Następne pukle opadły jej na twarz i uniosła obie ręce, by je odgarnąć.

Dan z dziwnym uśmiechem ujął ją delikatnie, lecz stanowczo za ręce i opuszczył je na dół. Zręcznymi ruchami palców wyjął spinki, ułożył od nowa fryzurę i wpiął spinki z powrotem.

Zaskoczona Silvey dopiero po kilku chwilach odtrąciła jego ręce.

- Przestań! Wielkie dzięki, ale sama potrafię zadbać o swoje włosy.

Dan rozłożył szeroko ręce w przesadnym geście.

- Jak pani sobie życzy, panno Carlton.

Silvey nachmurzyła się. Jak można kłócić się z kimś, kto jest przesadnie grzeczny? Usiłowała wrócić do istoty sporu, kiedy z samochodu wyłonił się Lawrence. Poprawił zmierzwione włosy, przesunął na właściwe miejsce muszkę, która dziwnym trafem znalazła się koło lewego ucha i obszedł rollsa dookoła, by otworzyć drzwi Leili.

Starsza para zbliżała się i Silvey musiała odłożyć na potem złośliwe uwagi pod adresem Dana. Ten z kolei obdarzył ją dobranoc znaczącym uśmiechem, ukłonił się Leili i poszedł wraz z ojcem do samochodu.

Kiedy znalazły się w domu, Leila oświadczyła rozmarzonym głosem, że wieczór był cudowny i odpłynęła do swojego pokoju.

Gotując się z wściekłości, Silvey krążyła po pokoju, aż doszła do wniosku, że Dan zdążył już dotrzeć do domu - oprócz numeru telefonu zapamiętała także adres. Podniosła słuchawkę i wystukała odpowiednie cyfry.

- Przesłuchiwałeś ją - wypaliła, gdy tylko odezwał się Dan. Przez chwilę milczał, lecz gdy się odezwał, gotowa była przysiąc, że się śmieje.

- Dobry wieczór, Silvey. Czyżbyśmy się przed chwilą nie pożegnali?

- Nie zmieniaj tematu.

- A co jest tematem?

- Twoje pytania.
  - Coś z nimi nie w porządku? - zapytał rzeczowo.
  - Cały czas próbowałeś znaleźć w jej życiu tylko ciemne strony. Nie interesowały cię te dobre - oskarżała go Silvey, miotając się po pokoju. Sukienka szeleściła, gdy ciągnęła za sobą kabel.
  - To opowiedz mi o jej dobrych stronach. - Ze słuchawki płynął głęboki, uwodzicielski głos. Silvey zniecierpliwiona poczuła na rękach gęsią skórę. Nie mogąc uwierzyć, że istnieje jakaś inna przyczyna, a nie tylko chłód panujący w pokoju, podeszła z telefonem do grzejnika i otworzyła dopływ ciepła.
  - Jest kochająca i szlachetna - mówiła, zerkając na wskaźnik temperatury. - Naprawdę troszczy się o innych i lubi im pomagać.
  - Rozumiem.
  - Naprawdę? - spytała podejrzliwie. Zaczęła jej mijać sztywność karku. Usiadła na kanapie.
  - Tak, ale powinnaś wyjaśnić to obszerniej.
  - Leila jest zdania - zaczęła ostrożnie - że ludzie dobrze sytuowani powinni pomagać tym, którym nie za bardzo się powiodło.
  - Hmm, to brzmi rozsądnie.
  - Tak uważasz? - Silvey zrzuciła pantofelki i rozmasowała stopy.
  - Oczywiście. Powiedz mi o niej coś więcej.
- Ucieszona i zdumiona jego postawą, wtuliła się głębiej w kanapę.
- Właśnie dlatego założyła grupę społeczników, żeby pomagać innym. - Położyła nogi na stoliku do kawy i odchyliła się do tyłu. - Odkąd członkowie tej grupy nazwali się „Wojownikami Leili”, i choć są to wyłącznie emeryci, udało się im prze-forsować kilka reform.

- Takich, jak poprawa opieki medycznej dla osób starszych? Silvey oparła się o podłokietnik i wyciągnęła rękę przed siebie.

- To i w dodatku lepsze warunki w domach opieki społecznej. Byłbyś zaszokowany, wiedząc, jak źle się tam działo.

- Na pewno - przyznał Dan.

Udobruchana jego potakiwaniem odrzuciła głowę do tyłu, przymknęła oczy i skoncentrowała się na brzmieniu głosu Dana. Przez cały dzień czuła się spięta, czy to przebywając z nim, myśląc o nim, czy też szykując się do wieczornego wyjścia. Teraz odprężyła się po raz pierwszy w ciągu dnia.

- A jak to jest z tobą, Silvey? - ciągnął Dan.

- Ze mną?

- Czy interesujesz się tymi wszystkimi zadaniami, w jakie angażuje się twoja babcia?

- Tak. Oczywiście. Przynajmniej niektórymi.

- Wydaje mi się, że zwłaszcza wykopaliskami na górze Branamana.

- Oczywiście. W końcu chodzi o moich przodków, o moją rodzinę.

- A ty jesteś wobec nich lojalna.

- Bezgranicznie - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to jak deklaracja starego wiarusa.

- Hmm - mruknął tonem, od którego przeszły jej po kręgosłupie rozkoszne dreszcze.

Zamknęła oczy, by nic nie przeszkadzało jej w delektowaniu się tą dziwną przyjemnością, jaką wywoływał głos Dana.

- Czyż nie mówiłaś, że twoja babcia, jak na swoje lata, ma otwarty umysł, jest szczodrobliva w trosce i uczuciach wobec innych ludzi?

- Tak właśnie mówiłam.

- Cóż, Silvey, mogę do tego dodać tylko jedno.



- Co mianowicie?
- Że to wszystko bardzo pasuje do ciebie.

Silvey zerwała się gwałtownie i otworzyła oczy.

- To miał być komplement?
- Czyżby zabrzmiało to bardzo podejrzanie?
- Tak
- Odtąd będę ostrożniejszy.
- Całe szczęście. Takie słowa mogą uderzyć dziewczynie do

głowy.

- W takim razie - zaśmiał się - skupię się raczej na twoich stopach.

- Słucham? - Naburmuszyła się, słysząc tak mało romantyczną uwagę, i natychmiast zaczęła się zastanawiać, czemu myśli o tym w kategoriach romansu, skoro było oczywiste, że żadne z nich tego nie chce.

- Prosiłem cię, żebyś włożyła pantofle do tańca i nie zatańczyliśmy ani razu.

Silvey uśmiechnęła się i zauważyła, że gładzi słuchawkę.

- A ty zawsze dotrzymujesz słowa.
- Tak powiadają - odparł uprzejmie.
- Nie mogę pozwolić, żebyś złamał słowo - roześmiała się.
- W żadnym razie. Jutro wieczorem idziemy potańczyć. Będziesz mogła mi szepnąć kilka ciepłych słów na temat Leili.
- Zrobię to na pewno.
- Zatem spotykamy się jutro o ósmej wieczorem.
- Doskonale, Dan. - Silvey życzyła mu dobrej nocy i odłożyła słuchawkę.

Siedząc ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, usiłowała odtworzyć ten moment, w którym złość na Dana zaczęła zmieniać się w chęć jak najszybszego ujrzenia go ponownie.

W zamyśleniu potarła policzek. Jak mogło do tego dojść? Doskonale pamiętała, jaka wściekła była na niego na początku

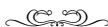
rozmowy, ale Dan wszystko jakoś tak przekabacił, że słuchając go, mruczała z zadowolenia jak głaskana kotka. Nawet zgodziła się na kolejną randkę, tym razem bez obecności babci.

Silvey nachmurzyła się. To chyba nie był najlepszy pomysł. Spotkanie w obecności Leili i Lawrence'a wymuszało pewne granice, poza które oboje nie mogli się posunąć. Jednak jutro wieczorem, nawet jeśli miałyby okazję wychwalać Leilę, będzie to robiła sam na sam z Danem.

Zaczęła się zastanawiać, czemu znów ją zaprosił. Na pewno nie po to, by omawiać kwestię pożyczki, choć i to mogło stać się przedmiotem konwersacji.

Westchnęła. Czuła się nabrana, otumaniona i wciągnięta w pułapkę. Dan powiedział wyraźnie, o co mu chodzi. Chce dowiedzieć się jak najwięcej o Leili, choć obie traktował raczej nieufnie. Nie mógł uwierzyć w bezinteresowność babci Silvey.

Zerwała się na równe nogi i zaczęła spacerować po pokoju. Dan nie mógł wziąć Leili na spytki. Lawrence nie pozwoliłby na to. Mógł zamiast tego porozmawiać z nią na osobności. Silvey przyznała z kwaśną miną, że - jak mogła się przed chwilą przekonać - zauroczenie Danem jest niezbyt pomocne w tej sytuacji. Jeśli ma bronić interesów Leili i własnych, musi być równie przebiegła jak on. No dobrze, spotka się z nim ponownie, ale tym razem będzie uważała na każde słowo i pilnowała swojej reakcji na wypowiedzi Dana.



Następnego wieczora znów jechali rolls-royce'em gdzieś w mrok. Tym razem prowadził Dan. Lawrence bardzo nalegał, żeby wzięli to auto. Sam zamierzał spędzić wieczór z Leilą i przyniósł kilka kaset ze swymi ulubionymi filmami. Silvey rozbawiło to, że w każdym grał główną rolę. Zostawili starszą parę przygotowującą prażoną kukurydzę w kuchence mikrofalowej. W lodówce chłodziły się puszki z wodą sodową.

Kiedy wspaniałe auto ruszyło spod domu, Silvey zaczęła nerwowo przyglądać żółtą, jedwabną sukienkę. Wiedziała, że dobrze w niej wygląda. Do tego miała na sobie siedmiocentymetrowe szpilki w tym samym kolorze. Włosy znów zakręciła w duże pukle, lecz przy układaniu ich użyła więcej spinek. Miała nadzieję, że jej wygląd zamaskuje potworne zdenerwowanie.

- Tata powiedział mi, że na dansingu w hotelu „El Monte” mają przyzwoitą orkiestrę, która gra kawałki z lat czterdziestych i pięćdziesiątych - powiedział Dan.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Wolisz jechać raczej tam niż do klubu?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Kluby są zbyt hałaśliwe.

Silvey objęła się jedną ręką w pasie, drugą podparła podbródek.

- A ty chciałbyś mieć możliwość przepytania mnie w sprawie Leili.

Dan zerknął na nią zza kierownicy.

- Zgadza się. Poza tym lepiej wychodzi mi boogie i fokstrot niż te nowoczesne tańce.

- Dlaczego?

- Ojciec swego czasu prowadził bardzo ożywione życie towarzyskie. Akurat kiedy dorastałem, sporo balował. Poznałem czacze i sambę na długo, zanim powstało disco. Ojciec wyprawiał bal dla ekipy przy każdym kolejnym filmie. Właściwie to wystarczał mu byle pretekst.

- Nigdy nie chciałeś się schować lub być sam podczas tych imprez?

- Jasne - wzruszył ramionami Dan. - Cierpiałem na typową dla każdego nastolatka awersję do zadawania się z każdym powyżej trzydziestki, ale nie umiałem się dobrze ukrywać. Zawsze odnajdywali mnie i zmuszali, żebym się do nich przyłączył.

Silvey uśmiechnęła się, choć oczyma wyobraźni zobaczyła młodego chłopca, który usiłował odnaleźć się w łańcuchu nie kończących się zabaw i przyjęć. Zastanawiała się, jak tego typu doświadczenia z młodości wpłynęły na wybór drogi życiowej. Podczas pracy naukowej i przy pisaniu książek potrzebny był spokój i cisza, coś, czego mu zabrakło w okresie dorastania.

Intrygowało ją pytanie, gdzie była wówczas jego matka. Dan opowiadał o życiu z ojcem i epizodach z macochami, lecz nigdy nie wspominał o matce.

Zrobiło się jej nieswojo, kiedy pomyślała o tym, jakie więzi uczuciowe mogły łączyć Dana z matką i jakiego nabrał wyobrażenia o kobietach, widząc zachowanie Lawrence'a. Mogła to sobie wyobrazić na przykładzie podejrzeń, jakie wysnuwał w stosunku do Leili.

Kiedy przyjechali do „El Monte”, dostali stolik tuż przy parkiecie. Zanim jeszcze zdążyła usiąść, Dan skinął głową w stronę tłumu tańczących. Większość stanowili ludzie starsi, lecz ku zdumieniu Silvey było tam też sporo młodych osób.

- Dołączymy do nich? - spytał.

W oczach Silvey zaśniło letnie słońce. Uwielbiała tańczyć. Ledwo mogła ustać w miejscu.

- Z rozkoszą. W końcu zresztą po to tu przyjechaliśmy. Miałaś wywiązać się z danej obietnicy.

- Tak, a ty miałaś opowiedzieć mi więcej o kryształowym charakterze twojej babci.

- Zgadza się. - Uśmiechnęła się nieszczerze. - Nie wolno nam zapominać o obowiązkach. Jednak w moim przekonaniu równie dobrze mogliśmy pogadać, siedząc w domu na ganku.

- Może i tak - zgodził się, biorąc ją za rękę. - W ten sposób mielibyśmy na oku Leilę i Lawrence'a.

Silvey wzniosła oczy ku niebu.

- Chyba nie potrzebują nadzoru.

- Nie jestem taki pewien - odparł po chwili Dan. - Ojciec był dziś w dziwnym nastroju.
- Skąd wiesz?
- Bo nalegał, żebyśmy wzięli rollsa. Na ogół tego nie robi.
- Może po prostu jest szczęśliwy, że nie sapiesz mu nad uchem, kiedy przebywa z Leilą - zauważyła radośnie.
- Może.
- Niełatwo dajesz się przekonać - powiedziała z lekkim wyrzutem.

Dan objął ją i poprowadził na wypolerowany parkiet.

Orkiestra grała „Sznur pereł” Glenna Millera. Nad głowami obracała się powoli wielka lustrzana kula. Refleksy błyskały tu i ówdzie, kontrastując z przyćmionym światłem. Dawało to bardzo romantyczny, a nawet tajemniczy nastrój.

Silvey poddała mu się wbrew swojej woli. Mimo obecności dziesiątek innych par, zdawało się jej, że są sami. Gdy tak płynęła w rytm muzyki, prowadzona miękko przez Dana, przypomniała sobie, że nie powinna zbyt szybko się rozluźniać. Jeśli chce poradzić sobie z tym uparciuchem, musi zachować czujność.

- Teraz masz okazję - odezwał się. - Opowiedz mi coś więcej o swojej babce. Kiedy już się z tym uporasz, dorzuć też kilka ciekawostek o sobie.

- Rany - mruknęła, spoglądając na niego spod rzęs. - Dawno nie byłam bardziej roztrzęsiona.

Dan zerknął na nią z niecierpliwą miną, więc zaczęła opowieść o latach, które wraz z Leilą spędziły w cyrku jako akrobatki. Opowiedziała, jak jej dziadek, mistrz areny i współwłaściciel cyrku, zalecał się do jej babci i jak wspólnie prowadzili cygańskie życie. Jej ojcu, Richardowi, nie odpowiadał taki tryb życia, więc kiedy się ożenił, zamieszkał z matką Silvey w Tucson, by ich córka mogła mieć normalne dzieciństwo. Kiedy

jednak Silvey przyłączyła się do dziadków, rodzice przyjęli propozycję pracy w firmie poszukującej złóż ropy.

- Czemu nie zostałeś w branży cyrkowej?

- Okazało się, że z usposobienia jestem bardziej podobna do ojca, niż mi się zdawało - przyznała niechętnie. - Uwielbiałam występować, ale cygańskie życie to nie dla mnie. Chciałabym mieć prawdziwy dom.

Dan spojrział jej w oczy, lecz głos miał bezbarwny.

- Tak, perspektywa posiadania własnego domu bywa bardzo kusząca.

Silvey zamrugała jedynie, słysząc ten dziwny komentarz, ale nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Ale twoja babcia pewnie uwielbiała cyrkowe życie, co? -ciągnął.

- Nie wiem. Wiem tylko, że naprawdę kochała mojego dziadka. Byli małżeństwem przez czterdzieści osiem lat.

W trudnych chwilach nigdy się nie poddawała.

Muzyka zagrała kolejny nastrojowy utwór.

- Wydaje mi się, -że to samo można powiedzieć o tobie.

- Spodziewam się.

- Jesteś niezwykle stanowcza albo po prostu bardzo uparta.

Silvey uśmiechnęła się i zerknęła na niego spod rzęs.

- To ty jesteś profesorem i słynnym pisarzem. Zdecyduj się.

- Uparta.

Silvey zmarszczyła nos i odchyliła głowę, by spojrzeć mu w twarz.

- Wiesz co? Ta cała sytuacja byłaby o wiele prostsza, gdybyś był bardziej samolubny i mniej troszczył się o ojca.

- Naprawdę?

- Tak, bo nie lubię cię za podejrzenia, jakie żywisz w stosunku do Leili.

Dan popatrzył na nią, mrużąc oczy.

- Czy nigdy nie przychodzi ci do głowy, żeby ugryźć się w język?

- Czasami - zaczerwieniła się Silvey.

- Bardzo rzadko - uściślił Dan. Przyciągnął ją bliżej, ujmując mocniej w pasie. - No tak, ale przynajmniej zdajesz sobie sprawę, że martwię się o niego.

Silvey miała już na końcu języka kaśliwą uwagę, gdy nagle zauważyła, w jaki sposób trzyma ją Dan. Ucisk jego ręki wywoływał nowe, silniejsze odczucia. Przeszył ją dreszcz podobny do tego, jaki przytrafił się jej wczoraj podczas rozmowy telefonicznej. Różnica polegała na tym, że teraz te dziwne odczucia wzmagają bezpośredni kontakt z Danem.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Dan bacznie ją obserwuje. Puścił jej rękę i objął oburącz w pasie. Przyciągnął ją mocniej, aż w końcu zetknęli się biodrami.

Odczuła niepokojącą przyjemność. Zastanawiała się, jak może tańczyć na uginających się nogach.

Podniecenie zaczęło narastać w niej wraz z ogarniającym ją uczuciem gorąca. Było to uczucie niespodziewane, choć miłe. Często przytulała się do różnych mężczyzn, lecz nigdy nie reagowała na to tak zmysłowo. Przy takiej intensywności doznań nie sposób było pomylić tego z sympatią czy przyjaźnią. W dodatku Dan nie dał jej w żaden sposób do zrozumienia, że chodzi mu o coś więcej niż o bezpieczeństwo ojca.

W oczach Dana paliły się ognie. Potęgowały je odbłyśła z lustrzanej kuli nad głowami.

- Jesteś niezłą tancerką, Silvey.

- Pozostało mi to z czasów, kiedy występowałam na trapezie.

- Czy jestem lepszym partnerem niż kij od szczotki?

Spojrzała mu w oczy. A więc widział jej wygłupy w sklepie.

Wyprostowała się i popatrzyła na niego z wyższością.

- Przynajmniej masz bardziej elastyczne kolana.

Roześmiał się. Silvey uśmiechnęła się. Tańczyli jak w transie, oczarowani muzyką i nastrojem.

Zmysły Silvey chłonęły wszystko ze zdwojoną intensywnością. Była pewna, że nigdy nie zapomni muzyki, dotyku otaczających ją ramion, mięsistego materiału marynarki Dana, koloru jego włosów, emanującej z niego męskiej aury ani delikatnego pomruku w jego głosie.

Dan napotkał jej wzrok i uśmiechnął się czule. Kolejna gorąca fala oblała całe ciało Silvey. Poczowała niepokojący ucisk w okolicy serca.

Pod sam koniec tańca potknęła się. Dan przytrzymał ją, obdarzył znaczącym uśmiechem i poprosił o kolejny taniec. Dopiero po kilku następnych wrócili do stolika, gdzie pijąc kawę, gawędzili beztrosko.

Silvey zdumiało i ucieszyło zarazem odkrycie, jak wiele łączy ich wspólnych zainteresowań, pomijając troskę o Leilę i Lawrence'a. Mając świeżo w pamięci atmosferę pierwszych kontaktów z Danem, nigdy by nie przypuszczała, że mogą rozmawiać przez dwie godziny, nie klóćąc się przy tym. Była jednocześnie zadowolona i pełna niepokoju. Nie wiedziała, czy udało się jej osiągnąć zaplanowany cel: zmienić jego stosunek do Leili. Jednak, idąc z nim na dancing, dała Leili możliwość pozostania z Lawrence'em sam na sam.

Kiedy po powrocie z „El Monte” ujrzała Leilę i Lawrence'a niecierpliwie wyczekujących na ganku ich przybycia, coś ją tknęło.

Wyczuła nawet, jak Dan znów rbbi się spięty.

- Wejdźcie, dzieci - odezwał się Lawrence. - Mamy wam coś do zakomunikowania.

- Co się stało, tato? - spytał Dan tonem, który zmroził miłą atmosferę wieczora.



Silvey spojrzała mu w oczy i wzruszyła ramionami, podkreślając tym gestem, że również nie wie, o co chodzi. Weszła do salonu i usiadła.

Leila kręciła się nerwowo po pokoju, poprawiając różne bibeloty. Wreszcie chwyciła Lawrence'a za rękę i przywarła do niego.

Silvey obserwowała to wszystko z rosnącym niepokojem. Dan przysiadł obok niej na kanapie. Rozpiął marynarkę i nie dbale położył ręce na oparciu. Zauważyła, że udawał bez troski, bo palcami nerwowo miał materiał.

- Dobrze, tato, strzelaj.

Lawrence spojrzał z wahaniem na syna, lecz widać było, że przepelnia go szczęście.

- Jak wiecie, podpisałem angaż na rolę w miniserialu. Dziś otrzymałem telefoniczną wiadomość, że z powodu zaniechania innego projektu, zdjęcia zostały przyspieszone. Muszę stawić się na planie w przyszłym tygodniu.

Twarz Dana wypogodziła się.

- To wspaniale, tato. Ja...

- Jeszcze nie skończyłem. - Lawrence uniósł rękę. - Zdjęcia w Kalifornii i Meksyku potrważą kilka tygodni. Nie chcę rozstawać się z Leilą na tak długo, więc poprosiłem ją, by mi towarzyszyła.

Silvey poczuła, jak jej zapiera dech. Na chwilę zrobiło się jej ciemno w oczach.

- Ma panu towarzyszyć? - wykrztusiła wreszcie. - Co to ma naprawdę znaczyć?

- Poprosił mnie o rękę - wtrąciła Leila.

Silvey jęknęła. Odżyły w niej obawy związane z Lawrence'em. Ten człowiek był już żonaty pięć razy!

- Babciu... Ja... ja...

- Nie wiesz, co powiedzieć? - spytała Leila, uśmiechając

się promiennie do Lawrence'a. - Ja również nie wiedziałam, kiedy poprosił mnie o rękę w trakcie jednego ze swoich filmów, który właśnie oglądaliśmy. Było to podczas sceny, w której oświadczał się Bette Davis. Siedzieliśmy obok siebie na kanapie. - Oczy zaszyły jej mgłą. - Było to naprawdę bardzo romantyczne.

- Nie wątpię - wydusiła Silvey.

- Oczywiście, kiedy odzyskałam mowę, powiedziałam „tak”, zanim zdążył zmienić zdanie.

Babcię najwyraźniej bawiło zażenowanie wnuczki. Silvey usiłowała zapanować nad sobą, niestety, bezskutecznie. Ręce zaczęły jej drżeć i to ze złości. Co ta babcia sobie wyobraża? Spotykać się z takim człowiekiem, jak Lawrence, to jedno, ale ślub - to zupełnie inna sprawa! .

- Kiedy? - spytała, czując, jak bardzo ma zdrętwiałe wargi.

- Masz na myśli termin ślubu?

- Dan obawia się, że znów mógłbym zrobić coś pochopnie - wtrącił Lawrence - więc postawiliśmy na długie narzeczeństwo. To właśnie dlatego Leila jedzie ze mną do Kalifornii. Zdjęcia potrważą sześć tygodni i na ten okres wytwórnia wynajęła nam apartament w hotelu Beverly Hills.

Silvey spoglądała na Leile, to na Lawrence'a i czuła, jak w gardle narasta jej dławiąca kula. Jej babcia zamierza pojechać do Kalifornii i zamieszkać wspólnie z Lawrence' em Wisdomem, by poślubić go po kilku tygodniach.

Nieprawdopodobne. Jak wyjaśni to swemu tacie?

Popatrzyła na Dana, który zastygł w miejscu. Wydawało się, że nawet przestał oddychać. Zbladł jak ściana, ściągnął brwi, w spojrzeniu miał coś przerażającego. Zaciśnął szczęki i odwrócił się do niej z wysiłkiem.

- Czy możemy porozmawiać przez chwilę w kuchni?

Pokręciła głową.

- Muszę porozmawiać z babcią.
- Chodźmy do kuchni, bardzo proszę - nalegał. Złapał ją za rękę i pociągnął.

Silvey bezskutecznie próbowała mu się przeciwstawić. Poderwał ją z kanapy i ku zdumieniu Leili i Lawrence'a, zaciągnął do kuchni.

Tam zatrzasnął drzwi i pociągnął ją na drugi koniec pomieszczenia.

- Mam nadzieję, że nie zachęcałaś ich do tego - rzekł ostrym tonem.

Spoglądała na niego zaszokowanym wzrokiem.

- Co?

Dan okrążył kuchnię i stanął przed nią.

- Powiedziałem, że mam nadzieję, iż nie zachęcałaś ich do tego.

- Co ty sobie wyobrażasz? Jestem równie zdumiona jak ty. Wycelował w nią palec.

- Nie dalej jak wczoraj rano mówiłaś mi, że jest taka możliwość.

Silvey rozłożyła ręce.

- Żartowałam! Nie przypuszczałam, że do tego dojdzie, a przynajmniej nie tak prędko.

- Mam nadzieję, że wcale do tego nie dojdzie. - Znów zaczął krążyć między zlewem a drzwiami. - Naprawdę ich nie zachęcałaś?

- Nie słuchasz mnie wcale? - parsknęła z wściekłością.

- Chyba już ci odpowiedziałam. I nie pozwolę się oskarżać.

Odwróciła się i zaczęła krążyć między stołem a lodówką.

On jest po prostu niemożliwy. Już zaczęła snuć romantyczne rozważania na jego temat, a on znów zaczął stawiać jej zarzuty. Wcale nie żartował, mówiąc, że nie ma potrzeby wzajemnego zrozumienia i teraz przekonała się o tym boleśnie.

Omali nie zderzyli się na środku kuchni. Popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Nie możesz mnie winić o to, co sobie myślę. - Uniósł brwi.

- Oczywiście, że tak. Zawsze miałeś o mnie i o babci jak najgorsze zdanie. Chcę zauważyć, że to twój ojciec się jej oświadczył, w dodatku w samym środku jednego ze swoich starych filmów. Na pewno nie powaliła go na ziemię i nie wymusiła obietnicy małżeństwa!

Dan zacisnął wargi i znów zaczął krążyć po kuchni. Wreszcie przystanął obok zlewu i zacisnął palce na jego krawędzi. Stał tak przez kilka sekund, potem rozluźnił chwyt, odwrócił się i skrzyżował ręce na piersi. Z pochmurną miną przyglądał się, jak Silvey krąży po kuchni.

Kiedy jej gniew zaczął opadać, zwolniła kroku.

W końcu Dan odezwał się ostrym, chrapliwym głosem:

- I co o tym myślisz?

Wciąż urażona jego oskarżeniem, spojrzała na niego z wyrzutem.

- Chyba to samo, co ty. Popelniamy błąd.

- Czy te wszystkie dobre rzeczy, jakie mówiłaś mi o Leili nie były zgodne z prawdą?

- Owszem, były prawdziwe, ale... żartowałam, kiedy powiedziałam, że możesz zostać moim wujkiem. Wiem, że lgną ku sobie, ale żeby zaraz ślub...

- Jak dotąd są tylko zaręczeni - zauważył.

- I zamierzają przenieść się do miłego gniazdko w hotelu Beverly Hills. Czy mam im przyklasnąć?

Zapadło niezręczne milczenie. Dan podniósł opuszczoną głowę i popatrzył na Silvey.

- Czy sądzisz, że możemy ich powstrzymać?

- Nie - westchnęła. Przesunęła sobie krzesło i usiadła, cho-

wajac twarz w dłoniach. Obserwowała wzburzoną twarz Dana i czuła, jak zaczyna opuszczać ją złość. Nie powinna się zamartwiać. Od chwili gdy się spotkali, wiedziała przecież, że bardzo martwi się o ojca. Jego oskarżenia bolały, bo świadczyły o tym, jak mało wie o niej i o Leili, ale nie powinno jej to dziwić.

Dan przetarł twarz dłońmi.

- Zrobią to bez względu na to, czy zaakceptujemy ich decyzję, ale chciałbym móc ich powstrzymać.

- Powiedziałeś wczoraj, że zrobisz wszystko, by im przeszkodzić. Czy to wciąż aktualne?

Popatrzył na nią ponurym wzrokiem.

Westchnęła głęboko.

- I to niby ja mam być uparta! Zyskasz tylko tyle, że się od ciebie odwróci. Czy o to ci chodzi?

- Nie.

- Ja również nie chcę, żeby babcia odwróciła się ode mnie.

Dan miał coraz bardziej ponury wyraz twarzy.

- Nie masz pojęcia, czym to grozi. Omal nie przypłacił życiem ostatniego rozwodu.

- To ty o niczym nie masz pojęcia. Przed pięciu laty babcia straciła męża, a wkrótce potem pracę, którą wykonywała przez niemal pięćdziesiąt lat. Bała się śmiertelnie, że nie będzie nikomu potrzebna, więc zorganizowała grupę aktywistów. Musi czymś się zajmować. Obawiam się, że w twoim ojcu zobaczyła kogoś, kogo trzeba ratować.

Milczeli oboje. Dan wsparty o zlew, z kciukiem opartym o policzek, Silvey siedząca na wprost niego po drugiej stronie kuchni. Kiedy pomyślała, jak blisko byli jeszcze tak niedawno i jak wiele ich teraz dzieli, ta odległość wydawała się jej wręcz olbrzymia.

- Może nie będzie tak źle - zaczął zastanawiać się ku jej zdumieniu Dan.

- Co?
  - Tata potrzebuje, by ktoś o niego zadbał, Leila chce się kimś opiekować - wzdrygnął się - ale kolejne małżeństwo...
- Silvey wzięła głęboki wdech.
- Przynajmniej nie zeni się na łapu capu.
  - To prawda - przyznał Dan, choć wcale nie poczuł się przez to lepiej.
  - Zdaję sobie sprawę, że nie zdążyłeś jej lepiej poznać, ale w oparciu o to, co widziałeś, czy uważasz, że babcia jest taka sama jak tamte kobiety?
  - Bogu dzięki, nie - odparł z przejęciem.
  - Prawdopodobnie pobiorą się niezależnie od naszych obietnic - ciągnęła spokojnym tonem Silvey. - Moglibyśmy choć być dla nich mili.
  - Ojciec obiecał długie narzeczeństwo - rzekł z nadzieją w głosie Dan.
- Silvey przeszył dreszcz niepokoju. Długi okres narzeczeństwa dawał mu więcej czasu na przeciwdziałanie.
- Owszem. Będą mogli lepiej poznać się nawzajem. Możesz być pewien, że jeśli Lawrence przysporzy babci najmniejszych kłopotów, weźmie się za niego ostro i przywoła go do porządku - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to przekonująco, nawet mimo łamiącego się głosu. Spuściła głowę, bo poczuła, że łzy napływają jej do oczu. - Ja również nie chcę, żeby stała się jej jakaś krzywda.
  - W takim razie spróbuj ich powstrzymać.
  - Nie mogę - pokręciła głową - to nic nie da. Nie możemy mówić im, co mają robić, a czego nie.
- Dan milczał przez chwilę.
- Lepiej już wracajmy - odezwał się chłodno.
- Skinęła głową i popatrzyła mu w oczy. Przykro jej było, że zniknęła łącząca ich nić sympatii.

Ujął ją pod rękę i wrócili do salonu. Silvey podeszła do Leili i przytuliła ją.

- Moje gratulacje, tato - rzekł Dan, ściskając rękę ojca.

Lawrence odetchnął z ulgą. Wymienili z Leilą radosne spojrzenia.

Tylko Silvey widziała zimną zaciekłość we wzroku Dana.

RS



## ROZDZIAŁ PIĄTY

- I nie zapomnij podlewać moich róż. Wiesz, jak szybko giną bez wody w letnim upale.

- Tak, babciu. Będę pamiętała - skinęła głową Silvey, dodając kolejny punkt do długiej listy spraw, jakie miały być załatwione pod nieobecność Leili. Babcia mogłaby zostać w domu i zająć się wszystkim sama, zamiast romansować z Lawrence'em w Kalifornii, pomyślała Silvey. Pomimo rozmowy z Danem dwa dni temu, wciąż nie pogodziła się z zaręczynami babci.

Teraz siedziały w sali odlotów lotniska w Tucson.

Lawrence i Leila postanowili polecieć do Los Angeles i zająć apartament, zanim ojciec Dana będzie musiał zgłosić się w wytwórni. To oznaczało, że na głowę Silvey spadło mnóstwo spraw Leili do załatwienia, a w dodatku w niektórych miały zupełnie odmienne zdanie.

Silvey schowała notes i kiedy podniosła wzrok, ujrzała, że Dan też otrzymuje szereg instrukcji od Lawrence'a.

Prawie nie rozmawiała z Danem, od chwili kiedy Lawrence wygłosił to zaskakujące oświadczenie, lecz wiedziała, że jest nie mniej wstrząśnięty od niej. Miała tylko nadzieję, że nie obarcza jej odpowiedzialnością za to, co się stało. Nie miał po temu żadnych powodów, jednak wciąż czuła się dotknięta do żywego oskarżeniem, że zachęcała Leilę i Lawrence'a do tego małżeństwa.

Nie mogła się powstrzymać od rozmyślań, co wpłynęło na taką postawę Dana. Niewątpliwie kolejne, nieudane małżeństwa



jego ojca. Sam to zresztą przyznał. Zdawał się we wszystkim doszukiwać ukrytych motywów. Jednak bez dociekliwego umysłu nie odniósłby większych sukcesów ani na polu naukowym, ani literackim.

Jego dogłębne podejście do wszystkich spraw fascynowało, a zarazem niepokoiło Silvey. Chociaż poznała go przed niespełna tygodniem, to nikt dotąd nie zaprzętał tak bardzo jej myśli jak on.

Obserwując Dana i rozmyślając o nim, zatraciła się do tego stopnia, że drgnęła gwałtownie i zamrugła, słysząc głos babci.

- Pamiętaj, że obiecałaś pomóc „Wojownikom”. Dom starców nie został jeszcze zamknięty, pomimo przedstawienia władzom stanowym dowodów na panujące tam okropne warunki. Oprócz tego miej oko na to, co dzieje się w sprawie góry Branaman.

Silvey zerknęła w stronę Dana, który przerwał rozmowę z ojcem i rozglądał się wkoło. Skupił uwagę na Leili i Silvey.

- Czy ty mnie słuchasz, kochanie? - spytała Leila. - Być może trzeba będzie sporządzić petycję w tej sprawie. Nie miałam okazji zbadać jej wystarczająco dokładnie, ale wiem, że przynajmniej jakaś jedna grupa stara się o zezwolenie na prowadzenie wykopalisk. Wydaje mi się, że mogą je uzyskać, jeśli przed rozpoczęciem prac nikt nie wniesie zastrzeżeń w sprawie ekshumacji zwłok przodków z plemienia Indian Moreno. Masz szansę zablokować tę inicjatywę, przedstawiając nasze opracowanie.

Silvey wiedziała, kto chce prowadzić wykopaliska, ale nie chciała gorzką pigułką prawdy mącić szczęścia Leili. Czuła, że aż coś się w niej skręca, mimo to zachowała spokój.

- Dobrze, babciu. Słuchałam cię. Zajmę się wszystkim. Dan wyprostował się i rzuciwszy Silvey chłodne spojrzenie, powrócił do rozmowy z ojcem.

Silvey również skupiła uwagę na Leili, tłumacząc sobie, że nie powinna zapominać o lojalności wobec niej, tylko dlatego, że jedno dotknięcie Dana przeszło ją na wskroś. Nie może.

- ...i nie zapomnij poinformować mnie, czy dostałeś ten awans - mówił Lawrence.

- Jaki awans? - zainteresowała się nagle.

Starszy pan uśmiechnął się z dumą.

- Mają zamiar mianować Dana szefem uczelnianych archeologów. Chłopak ma mnóstwo pomysłów. Chciałby tu stworzyć muzeum rękodzieła Indian z południowego zachodu.

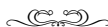
- Nie wiem, czy awansują mnie, tato - rzekł spokojnie Dan, lecz Silvey dostrzegła ostry błysk w jego oku. - Zarząd składa się z wielu osób.

Usłyszała cichy jęk i obejrzała się. Leila dokładnie uprzytomniła sobie sens wypowiedzi Lawrence'a.

- Myślałam, że jesteś antropologiem - odezwała się cicho.

- Owszem - skłonił głowę Dan. - Oprócz tego jestem też ekspertem w dziedzinie archeologii.

Leila popatrzyła z niedowierzaniem na Silvey. Wnuczka odwróciła wzrok i wzruszyła ramionami. Przez jej twarz przemknął wyraz dezaprobaty. Nie rozumiała, dlaczego do tej pory prawda o profesji Dana nie dotarła do Leili, ale teraz babcia już wie i będzie musiała sobie z tym jakoś poradzić.



Prawie nie rozmawiali ze sobą, kiedy po odlocie Lawrence'a i Leili, szli przez dworzec lotniczy, aż znaleźli się w ciepłym mroku ulicy.

Dan stał obok swojego samochodu, czekając, aż Silvey otwórzy swój. Przypatrywał się jej ponurym wzrokiem.

Było późno. Parking rozświetlały reflektory samochodów. Od zachodu wiał chłodny wiatr.

- Chcę wiedzieć, co zamierzasz zrobić - powiedział w końcu, bawiąc się nerwowo kluczami.

- Z czym? - Spojrzała na niego zdziwiona.

- Góra Branaman - warknął, stając na wprost Silvey.

- Jeszcze nie wiem. - Pokręciła głową.

Dan ściągnął wargi.

- W gabinecie wydawałaś się zupełnie pewna swoich racji. To była prawda, tylko wówczas nie znała go tak dobrze, jak teraz. Łatwo było potępiać przekonania kogoś, kogo się nie znało, ale sytuacja uległa zmianie, odkąd spędziła z nim trochę czasu. Tańczyli, rozmawiali, wiele godzin rozmyślała o nim, a w dodatku jej babcia zaręczyła się z jego ojcem.

- Najlepiej zrobisz, nie wchodząc mi w drogę - dodał, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

- Słucham? Nie rozumiem... - zdumiała się.

- Daruj sobie te niedowarzone idee. Wbrew temu, co sądzisz ty i twoja babka, zamierzam ochraniać historię archeologii, a nie niszczyć ją.

- Głównie to zamierzasz zostać szefem wydziału - odcięła się. - Chcesz poprawić swój wizerunek. To wszystko ma swój polityczny cel.

Wściekłość błysnęła w oczach Dana.

- Nie muszę na to odpowiadać ani się usprawiedliwiać - odparł, zachowując spokojny ton. - Pleciesz, co ci ślina na język przyniesie. - Wysoko uniósł głowę. - Zapamiętaj sobie, z łaski swojej, że jest jeszcze jeden powód, dla którego powinnaś trzymać się od tej sprawy z daleka.

Silvey ujęła się pod boki.

- Doprawdy? A cóż to za powód?

- Chcesz dostać tę pożyczkę?

Nieczuralna odpowiedź cisnęła się jej na usta, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Podjęła już pieniądze otrzy-

mane od Lawrence'a i odesłała mu je na konto zgodnie z poleceniem Dana.

- Och, zapomniałam.

- Tak właśnie myślałem. -Popatrzył na nią z szelmowską miną. - Przyszła pora, żebyśmy zawarli porozumienie.

- Jakie porozumienie?

- Coś za coś.

Silvey zacisnęła pięści, lecz starała się opanować.

- Innymi słowy, jeśli chcę dostać pożyczkę, mam zrezygnować ze sprzeciwu wobec prowadzenia prac archeologicznych na górze Branaman?

- Mniej więcej o to chodzi.

- To szantaż.

- Nie. To uczciwy handlowy układ.

Wyglądał na tak pewnego siebie, że miała ochotę zdrowo nim potrząsnąć. Miał ją w garści i oboje zdawali sobie z tego sprawę.

- Wygląda na to, że mamy tu do czynienia z nieporozumieniem na tle różnego rozumienia znaczeń pewnych słów. Szantaż znaczy co innego, a handlowy układ, to uczciwe postawienie pewnych warunków.

- Niezbyt uczciwe - odparła niechętnie.

Dan zignorował ten przytyk.

- Ojciec pochwała moją inicjatywę udzielenia ci pożyczki.

Skoro Lawrence i Leila są z tego powodu szczęśliwi, nie będziesz chyba chciała zrobić im zawodu?

- To nie fair. Wykorzystujesz moje uczucie do babci...

- Tak samo jak ty grałaś na synowskiej miłości, kiedy przyszedł do mojego biura.

A niech go! Na wszystko miał gotową odpowiedź. Pragnąc powstrzymać się od powiedzenia czegoś, czego mogłaby potem żałować, wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

- No dobrze. Co właściwie mam zrobić?
- Przede wszystkim dostarczysz mi to sprawozdanie o dotychczasowych sukcesach firmy i jej preliminarz budżetowy.
- Oczywiście. Przecież to już uzgodniliśmy, prawda?

Dan uśmiechnął się, że tego nie słyszy.

- Chcę również przejrzeć księgowość, zobaczyć, jak obecnie idą interesy. Jeśli będą rokowały nadzieję, polecę mojemu prawnikowi przygotowanie dokumentów dotyczących wysokości i warunków spłaty pożyczki.

- To brzmi rozsądnie - przyznała z niechęcią w głosie.
- Nie porażasz mnie swoim entuzjazmem - zauważył kwaśno.

- Kiedy chcesz przejrzeć księgi?
- Chociażby jutro. Wpadnę do sklepu po południu. - Podszedł do samochodu i otworzył drzwi. Wstawił jedną nogę do środka i zerknął na nią znad drzwi. - Czy to ci odpowiada?

Miała ochotę wyjaśnić mu, co by jej najbardziej odpowiadało, ale tylko skinęła głową.

- A co z wykopaliskami? - spytała, zanim zniknął wewnątrz samochodu. - To, co robisz, nie jest słuszne.

- Przez najbliższe dni nic się nie będzie działo, bo jeszcze nie otrzymałem zezwolenia. Dam ci znać, kiedy coś się zmieni.

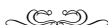
Złość błysnęła w brązowych oczach Silvey.

- To wielkodusznie z twojej strony.
- Nie kpij sobie. Przekonasz się, że tak będzie najlepiej. Gdy już dostanę zezwolenie, chętnie zabiorę cię ze sobą. Może kiedy zobaczysz na własne oczy, co robimy, przestaniesz się sprzeciwiać.

- Wątpię - odparła zwięźle, ale Dan skłonił się jej na pożegnanie i czekał grzecznie, aż pierwsza odjedzie z parkingu.

Silvey wsunęła się za kierownicę. Zbyt długo była niezależna, by tak łatwo poddawać się w zasadniczej sprawie. Gniewało

ją to, że ma związane ręce. Miała w dodatku niejasne przecucia, że Dan mieszał sienie tylko do jej przeszłości, miał również wpływ na jej przyszłość.



Pomimo mieszanych uczuć, jakie żywiła wobec Dana, następnego dnia postawiła za ladą jednego ze swych pomocników, a sama w maleńkim biurze na zapleczu wertowała księgi, by upewnić się, że są idealnie prowadzone. Ponieważ wiedziała, że nie ma specjalnego zamiłowania do księgowości, tym bardziej z wyjątkową starannością wprowadzała dane do komputera. Oprócz tego Walter regularnie sprawdzał wydruki. Mimo tego, wróciła do każdej księgowanej pozycji, by upewnić się, że Dan nie przyłapie jej na najmniejszym błędzie.

Gdy tak pracowała, pomyślała sobie, że jej rodzice byliby bardzo zdziwieni, widząc, jak skrupulatnie prowadzi swój interes. W szkole była przeciętną uczennicą. Pochłonięta ćwiczeniami gimnastycznymi i swoją przyszłą karierą akrobatki cyrkowej otrzymywała na ogół mierne stopnie.

To śmieszne, ale jej kariera w cyrku trwała, krótko. Przekonała się, że nie ma zamiłowania do cygańskiego życia i skupiła się na prowadzeniu interesu. Doszła do wniosku, że sprawdza się stare porzekadło głoszące, iż z czasem zaczynamy lubić rzeczy, do których nas początkowo zmuszano.

Ten sklep był dla niej bardzo ważny. Stanowił wyzwanie. Chęć posiadania go na własność rosła w niej z dnia na dzień. Dla osiągnięcia tego celu gotowa była na wiele, nawet na wzięcie pożyczki od osoby, której posunięć nie akceptowała i której nie lubiła.

Zdusiła ziewnięcie, kiedy pochylona nad biurkiem przesuwała ołówek wzdłuż długiej kolumny liczb. Nie wyspała się. Zeszłej nocy była zbyt poruszona wyjazdem babci i starciem z Danem, by móc szybko zasnąć. W związku z tym zatelefono-

wała do rodziców, poderwała ich z łóżek i wprowadziła w stan osłupienia informacją o zaręczynach babci. Potem przez pół godziny musiała wyjaśniać wszystko, żeby ich uspokoić. Ojciec chciał natychmiast przylecieć do Kalifornii i odbyć męską rozmowę z człowiekiem, który zamierzał poślubić jego matkę.

Silvey pokręciła z niedowierzaniem głową.

Kończyła sprawdzanie ksiąg, kiedy pomocnik poinformował ją, że ktoś chce się z nią zobaczyć.

Poderwała się nerwowo na nogi, poprawiła włosy i chwyciła torebkę w poszukiwaniu szminki. Szybko umalowała usta i zerknęła na swoje luźne bawełniane ubranie. Chciała wyglądać bardzo praktycznie, jednak teraz pomyślała, że może lepiej byłoby włożyć na siebie coś bardziej eleganckiego. Miała taki elegancki letni kostium z cienkiej bawełny i szpilki w kolorze kości słoniowej...

Co jej też przychodzi do głowy? Najwyraźniej Dan Wisdom źle na nią wpływa, skoro myśli o letnich kostiumach i lakierkach na pięciocentymetrowych obcasach. Wrzuciła szminkę do torebki, którą schowała do biurka. Rozejrzała się wokół i poszła przywitać Dana chłodnym uśmiechem.

Jednak to nie Dan, tylko stojący we wnętrzu sklepu John Ramos obrzucił ją pełnym podziwu spojrzeniem.

Zdumiona przystanęła w progu i uśmiechnęła się trochę niepewnie, co Ramos przyjął za cieplejsze powitanie, niż leżało to w intencjach Silvey.

Podszedł bliżej do kontuaru.

- Cześć, Silvey. Postanowiłem wpaść i zobaczyć, jak sobie radzisz. - Rozejrzał się, zatykając ciemne okulary za kołnierzyk podkoszulka z napisem: Słońce Phoenix. Do tego nosił spłowiałe dzinsy. - Jestem zdumiony, widząc cię w branży handlowej. Z twoim talentem akrobatycznym mogłabyś występować na całym świecie.

- Chyba... tak.
- Powiniem w swoim czasie zrobić to samo, co ty - ciągnął. - Ruszyć w drogę, zamiast ugrzęznąć na uczelni, pakując się w długi, małżeństwa i coraz większe zadłużenie.
- Wszyscy dokonujemy wyborów i czasem tego żałujemy - powiedziała, nie chcąc słuchać jego biadolenia.
- Czy żałujesz odejścia z branży rozrywkowej?
- Już nie. Męczyły mnie podróże - odparła, odchodząc od kontuaru, by John mógł zrobić miejsce klientom przy kasie. Nie miała pojęcia, po co przyszedł. Zawsze lubiła Johna, ale prócz współzawodnictwa w gimnastyce mieli ze sobą niewiele wspólnego. - Zamierzam kupić ten sklep.

Ramos uśmiechnął się pobłaźliwie, ale Silvey postanowiła nie pokazać mu, co o tym sądzi. Odwzajemniła uśmiech.

- Co mogę ci zaoferować? Sernik z truskawkami i mrożony jogurt? To nasz dzisiejszy specjal. Może posypać wiórkami czekoladowymi?

- Nie, dziękuję. - Pokręcił głową. - Nie przyszedłem tu na przekąskę. Po prostu skorzystałem z twego zaproszenia.

- Mojego zaproszenia? - Zerknęła na niego podejrzliwie, gdy jej uwagę przyciągnął dzwonek nad drzwiami anonsujący przybycie kolejnego klienta.

To był Dan. Najpierw zauważył ją, potem Johna. Ze złośliwym spojrzeniem odwrócił się, by zamknąć drzwi.

Silvey wyczuła, jak stojący obok niej John napina mięśnie. Zerknęła na niego ze zdziwieniem. Dan podszedł bliżej. Obaj panowie przywitani się chłodno. Nie podali sobie rąk, ale być może spotkali się już wcześniej na uczelni.

Ku zaskoczeniu Silvey napięcie, jakie wytworzyło się między jej gośćmi, było tak silne, że niemal namacalne. Zaczęła się zastanawiać, za co się tak nie lubią.

Panowie milczeli, więc postanowiła przejąć inicjatywę.



- Cześć, Dan - zaczęła trochę nieskładnie. - John wpadł właśnie, żeby... - Popatrzyła na Ramosa. - Właściwie, to po co wpadłeś?

- Żeby spytać cię, czy wybierzesz się ze mną na wydziałowe barbecue do doktora Vargi - mówił John, nie spuszczać wzroku z Dana - prezesa naszej uczelni.

- Nie wiedziałam. - Zerknęła na Dana, który popatrywał na Ramosa z chłodnym zainteresowaniem. - To znaczy...

Urwała, usiłując rozszyfrować, co myśli na ten temat Dan. Potem skarciła się w duchu za tę próbę.

- Nie mów, że nie pójdziesz ze mną - nalegał John. - Powiedziałaś, że zawsze mogę się do ciebie odezwać.

- Tak, oczywiście, ale wpadłeś tak dość nieoczekiwanie...

- Jak to? Przecież wiesz, że zawsze cię lubiłem.

Dan wydał dziwny dźwięk, coś pomiędzy śmiechem, a złośliwym pomrukiem.

- A co z tobą, Wisdom? - zwrócił się do niego Ramos.

- Przyjdziesz?

- Raczej nie. Nie przepadam za rozgrywkami kuluarowymi.

- Więc nie boisz się o swój awans?

W głosie Johna słyszeć było coś więcej niż zwykle zainteresowanie, ale Silvey nie była w stanie zorientować się, o co chodzi.

Dan nie miał takich problemów. Rzucił Johnowi miazdzące spojrzenie, ale odezwał się bardzo rzeczowym tonem.

- Jeśli otrzymam awans na szefa archeologów, to dzięki mojej pracy, wiedzy i publikacjom, nie przez uczestniczenie w wydziałowej imprezie towarzyskiej. Nie ubiegam się o niczyje stołki i nikomu nie muszę imponować.

Silvey patrzyła w osłupieniu, jak John robi się czerwony. Czy zamierzał ubiegać się o czyjąś posadę? Podejrzewała, że tak,

lecz żal jej było Ramosa, bo wiedziała, że w słownych utarczkach z Danem nie ma większych szans. Postanowiła interweniować.

- Z przyjemnością wybiorę się z tobą, John. Kiedy to jest i w co powinnam się ubrać?

Nawet ślepy zauważyłby wyraz dezaprobaty malujący się na twarzy Dana i triumfalne spojrzenie, jakie rzucił mu John, nim udzielił Silvey szczegółowych informacji.

Była zadowolona, kiedy John wyszedł po kilku chwilach. Odwróciła się w stronę Dana z drżącym sercem. Tak naprawdę to nie miała zamiaru iść z Johnem na to barbecue ani gdziekolwiek indziej. Złościło ją, że obecność Dana zmusiła ją niejako do przyjęcia tego zaproszenia. Prawda była taka, że w beznadziejnie głupi sposób wpakowała się w tę kabałę. Najlepiej nic sobie z tego nie robić.

- Czyż to nie miło ze strony Johna? - spytała wesoło. Dan uniósł jasną brew.

- Ależ tak. Zauważyłem, że John Ramos rozplywa się w uprzejmościach.

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi - odparła, pokazując mu drogę do małego pokoiku.

- Wygląda mi na to, że bardzo chce zostać kimś więcej niż starym przyjacielem. Prawdopodobnie wcale nie chodzi mu o przyjaźń.

- Mylisz się.

- Nie. Myślę, że wybrał cię na żonę numer trzy.

- Nie bądź śmieszny.

Zła na Dana zaproponowała mu gestem, by usiadł na krześle wciśniętym między biurko a ścianę, po czym sama zajęła miejsce za biurkiem. Następnie zaczęła przygotowywać księgi rachunkowe, wydruki i faktury.

Dan nawet nie rzucił na nie okiem. Zamiast tego, przyglądał

się jej bacznie. Silvey zaczęła podświadomie bawić się kołnierzykiem sukienki.

- O co chodzi? - spytała wreszcie.

- Wydaje mi się, że pod nieobecność twojej babci i rodziców, powinienem uważać na ciebie.

Ze zdziwienia szeroko otworzyła oczy.

- Uważać na mnie?

Pokiwał głową.

- Żeby mieć pewność, że nie wpakujesz się w kłopoty z facetami takimi jak John Ramos.

- On jest w porządku. Już ci mówiłam. Znamy się jeszcze z liceum.

- To już nie ten pyzaty chłopczyk. Ramos jest teraz mężczyzną z męskimi problemami i nie powinnaś mu ufać.

Silvey z trudem zachowała spokój.

- Nie musisz mnie pouczać, komu mam ufać.

Dan podniósł obie ręce, ale to nie był gest kapitulacji.

- Po prostu przedstawiłem ci moją opinię... - Urwał. - Życzę udanego barbecue.

- Dziękuję. - Jej uśmiech stopiłby lód.

- To dobrze, że jesteś akrobatką.

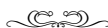
Wiedziała, że ją podpuszcza, ale nie mogła się powstrzymać i połknęła haczyk.

- A to dlaczego?

- Bo być może będziesz musiała wykonać swoje najlepsze salto, by od niego uciec.

- Potrafię o siebie zadbać - powiedziała ostro. - Może ze-chciałbyś jednak zerknąć na te dokumenty?

Dając jej wzrokiem do zrozumienia, że tylko przez grzeczność zgadza się na zmianę tematu, przyciągnął bliżej księgi i zaczął studiować liczby.



Co ja sobie wyobrażałam? Silvey rozejrzała się po przepastnym patio domu doktora Vargi i usiłowała uprzytomnić sobie, czemu zgodziła się tu przyjść. Nie pasowała do tego towarzystwa. Wszyscy wydawali się starsi i mimo ich uprzejmości nie miała z nimi wspólnego języka.

Za to miejsce było przepiękne. Obszerny dom o brukowanym patio leżał u stóp gór Santa Catalina. Stąd rozciągał się widok na Tucson. O tej porze dnia miasto zasłaniał smog i z oddali widać było jedynie słabe światła. Teren ozdabiały rośliny i zwirowe ścieżki. Cienkie gałązki pustynnych wierzb tańczyły w podmuchach wiejącego doliną wiatru. System nawadniający tworzył orzeźwiającą mgiełkę.

Silvey rozejrzała się po tłumie. Nigdy nie żałowała, że nie wstąpiła na uczelnię. Uważała, że nie potrzebuje wyższego wykształcenia, ale teraz przydałoby się jej nieco więcej wiadomości z zakresu filozofii i logiki, by móc zrozumieć, co mówi do niej mały człowieczek, który wymachiwał szklaneczką i przekonywał ją o wartości dzieł jakiegoś zapomnianego niemieckiego myśliciela.

- Nigdy nie doczekał należnego mu uznania.
  - Doprawdy, profesorze Roarke? - spytała z uśmiechem.
- Fatalnie. Zastanawiam się, czemu.

Mały profesorek tylko czekał na słowo zachęty i znów zaczął rozprawiać z ożywieniem.

Była wściekła na Johna, który zostawił ją, by przywitać się z resztą gości. Wiedziała, że jest samolubny, ale nie podejrzewała go o taki nietakt. Porzucił ją na pastwę profesora, podczas kiedy sam poleciał na - jak to określił Dan - rozgrywki kuluarowe. Obserwowała, jak przechodzi od jednej grupki ludzi do drugiej, zastanawiając się, ilu ludzi zdążyło już poznać się na jego obłudzie.

Przyłapawszy się na złośliwości, odgarnęła włosy z karku

i pomyślała, że dobrze byłoby popływać w basenie znajdującym się po drugiej stronie patio. Basen wydawał się być obiektem na pokaz, chyba rzadko używanym przez właścicieli domu, miłych ludzi w średnim wieku. Nie wyglądali na wielbicieli pływania, ale mogła się mylić.

Ostatnio zdarzało się jej to często, pomyłką było zwłaszcza umówienie się z Johnem. Obdarzyła kolejnym uśmiechem profesora, lecz spoglądała w stronę Johna. Przyczepiły się do niego dwie kobiety. Ich ubrania i fryzury sprawiały wrażenie, jakby raz na zawsze zatrzymały się w latach sześćdziesiątych. Skoro John poświęcał jej tak mało uwagi, oczywistym stało się, że to nie jest normalna randka. Zastanawiała się, po co w ogóle ją tu przyprowadził. Doszła do wniosku, że chciał odnowić starą znajomość, ale chyba znów była w błędzie.

Przypomniała sobie napięcie panujące między Johnem a Danem. Czyżby John umówił się z nią tylko dlatego, że sądził, iż Dan się nią zainteresował? Nie wiedział, że Dan tylko „uważał na nią”.

Zerknęła w stronę drzwi wejściowych i zamarła. Z niewytłumaczalnych powodów poczuła, jak ogarnia ją fala gorąca i zaczyna się rumienić. W drzwiach stał Dan Wisdom.

Miał na sobie zwyczajne spodnie khaki i koszulę z podwiniętymi rękawami. Wyglądał na swobodnego i odprężonego, w przeciwieństwie do Johna, który wystąpił w drogim, szytym na miarę garniturze, jedwabnej koszuli i krawacie. Pomimo że Dan często ją denerwował, musiała przyznać, że nie brakuje mu pewności siebie. Był prawdziwym mężczyzną, podczas gdy John tylko na takiego pozował.

Zdumiona swoim odkryciem szybko przypominała sobie, jak Dan wygląda w stroju wieczorowym i westchnęła w duchu. Gdyby nie był tak nieprzyzwoicie przystojny, łatwiej by jej było nie myśleć o nim.

Przygryzła wargę. Kogo chcesz oszukać? Pociągała ją nie tyle atrakcyjna powierzchowność Dana, co jego tajemnicza osobowość.

Tak samo ją intrygował, jak złościł.

Co tu robił, skoro zarzekał się, że nie lubi takich imprez?

Badawczym wzrokiem zlustrował tłum, a gdy ich spojrzenia skrzyżowały się, Silvey poczuła dziwny dreszcz. Natychmiast ruszył w jej kierunku.

RS



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Cześć, Silvey - odezwał się Dan, wchodząc w słowo profesorowi Roarke. Starszy pan wcale się tym nie przejął. Z uśmiechem przywitał się z Danem, lecz jego dobry nastrój prysnął w momencie, kiedy Dan powiedział: - Wiesz, George, zdaje się że Randall Fine nie zgadza się z twoimi uwagami na temat teorii Schwartza.

- Niemożliwe! - Profesor Roarke z żądzą mordy w oczach odwrócił się, by poszukać wzrokiem przeciwnika. - Gdzie on jest?

- Przed chwilą widziałem go obok tacy z kanapkami. Jeśli się pospieszysz, zdołasz go dopaść i przytłoczyć argumentami.

- Słusznie - oświadczył profesor. Zanim odszedł, podał rękę Silvey i potrząsnął nią z entuzjazmem. - Dziękuję za interesującą rozmowę, panno Carlton. Być może spotkamy się jeszcze - powiedział i poszedł.

Silvey wyduła wargi i popatrzyła ironicznie na Dana.

- To było wyjątkowo podłe, doktorze Wisdom.  
Dan odwdziaczył się jej szelmowskim uśmiechem.

- Wcale nie. Randall często się z nim nie zgadza. Ta para spiera się o wszystko. Uwielbiają się kłócić. Prawdę mówiąc, jest to treścią ich życia. - Przechylił na bok głowę. - Profesor wydawał się zachwycony rozmową z tobą.

Wzruszyła ramionami i wypila odrobinę soku.

- Nie mam pojęcia, czemu. Prawie nic nie mówiłam.

- Mało komu udaje się dojść do głosu w towarzystwie Geor-

ge'a. - Dan spoglądał na przeciwległą stronę patio, gdzie John rozmawiał z doktorem Vargą. - Wygląda na to, że niepotrzebnie straszylem cię koniecznością ucieczki przed Johnem.

- Owszem - odparła powoli, pamiętając, by trzymać nerwy na wodzy. - Niepotrzebnie.

- Czyżby twój chłopak zostawił cię na pastwę losu?

Silvey zdusiła cisnące się jej na wargi zaprzeczenie, jakoby John był jej chłopakiem. Uniosła jedynie głowę.

- Wygląda na to, że musi porozmawiać z wieloma ludźmi.

- No pewnie. W końcu stara się o moją posadę.

- Jeśli otrzymasz awans na kierownika wydziału?

- Oczywiście.

Pomyślała sobie, że w takim przypadku John powinien być nieco bardziej pokorny wobec Dana, ale zapewne wiedział, bo już i ona zdążyła się zorientować, że Dan nim pogardzał.

- Czy przestyszałam się, czy też mówiłeś, że na ogół unikasz takich spędów? - spytała po chwili milczenia.

- Ja coś takiego powiedziałem? - zdziwił się z niewinną miną Dan.

- W rzeczy samej, a było to nie dalej, jak wczoraj.

- Nie. - Pokręcił szybko głową. - To musiał być jakiś inny facet. Zobacz, będą podawać jedzenie. Chodźmy.

Chwycił ją za rękę i pociągnął w kierunku suto zastawionego stołu. Przechodzili obok Johna, który wyciągnął rękę, jakby chciał ich zatrzymać.

- Silvey, zaczekaj...

- Wybacz - powiedział Dan, omijając go. - Twoja dziewczyna jest głodna.

- W takim razie zaopiekuję się nią - odparł z lodowatą uprzejmością John.

Dan popatrzył na niego z wyrzutem.

- Tak jak przez cały wieczór? Wątpię.



John zawołał coś w proteście, ale kiedy kilka osób odwróciło się, by zobaczyć, co się dzieje, poczerwieniał i umilkł. Silvey zauważyła, że spoglądał nienawistnym wzrokiem na Dana.

Kiedy stali w kolejce do bufetu, wyswobodziła rękę z uścisku Dana.

- Co wy obaj wyprawiacie? - szepnęła z wściekłością.
- Nie jestem zabawką, którą wrywa sobie dwóch chłopców.
- Ależ skądże. Jesteś kobietą, umawiającą się na randkę z mężczyzną, którego nie widziałas od lat. Tylko w jakim celu?
- Wzruszył ramionami. - Żeby miło spędzić czas? Skorzystasz na naszej rywalizacji?

Oburzona takim niesprawiedliwym oskarżeniem Silvey tylko ze złością popatrzyła na Dana. Głos odzyskała dopiero po kilku sekundach i kiedy odezwała się, mówiła tak cicho, żeby słyszał ją wyłącznie Dan.

- Nie dam ci tej satysfakcji i nie niżę się do zaprzeczenia. Wiesz doskonale, że nie postępuję w ten sposób. Nie mam pojęcia, czym zasłużyłam sobie na taką opinię, ani czemu nie lubisz mnie, mojej babci i kobiet w ogóle. To jest jednak twój problem, nie mój.

Odwróciła się i z talerzem w ręku podeszła do bufetu. Tam nałożyła sobie więcej, niż normalnie jadła w ciągu dnia. Łyżka drżała jej w ręce. Szczypce do sałaty podzwaniały o jej talerz, kiedy układała sobie na nim małą piramidę. Pomidor spadł ze szczytu, rozbryzgując się na obrusie.

Przez cały czas czuła obecność Dana. Nie wiedziała, czy ma jej coś do powiedzenia, ale tak ją dotknął i rozżłościł, że mało ją to obchodziło. Miała ochotę oświadczyć mu, żeby wypchał się ze swoją pożyczką. Musiałaby wówczas pożegnać się z marzeniami o własnym sklepie. Jednak psychiczna walka z Danem okazała się na dłuższą metę nie do zniesienia. Nie mogła tego już wytrzymać.

Pomyślała o swojej babce, ale postanowiła wyjaśnić jej, że nie mogła dogadać się z Danem. Jeżeli Lawrence znów zaofiaruje jej pożyczkę, odmówi. Prowadzenie interesów z Wisdomami przekraczało jej wytrzymałość.

Nie przejmując się Danem, rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby spokojnie zjeść. John stał gdzieś na końcu kolejki i nawet gdyby chciał, nie dołączy do niej przez kilka najbliższych minut. Odeszła szybko od Dana i wypatrzyła mały stolik z jednym krzesłem. Usiadła i spojrzała bezradnie na piętrzącą się przed nią górę jedzenia. Odsunęła talerz. Nie chciało jej się jeść. Nie byłaby zdolna niczego przelknąć.

Ktoś stanął za nią, ale ponieważ domyślała się, że to Dan, nie obejrzała się aż do chwili, kiedy usłyszała, że przyciąga sobie krzesło. Wówczas rzuciła mu wściekle spojrzenie.

- Przepraszam - odezwał się Dan, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Złość na niego rozwiała się gdzieś nagle, patrzyła na Dana, mrugając oczyma. A on, nie spuszczać z niej wzroku, przysunął jedną ręką krzesło, drugą postawił na stole swój talerz i usiadł.

- Przepraszam, że tak nieładnie się zachowałem - powiedział. Zabrzmiało to szczerze, ale wyraz twarzy miał nadal nieodgadniony.

Silvey nie mogła znieść myśli, że tak trudno z jego twarzy coś wyczytać, podczas gdy on rozszyfrowywał ją bez wysiłku.

- Ale dlaczego? - zapytała. Podniosła widelec, chcąc nabrać nieco sałatki, ale się rozmyśliła. - Nigdy nie wiem, co ó sobie myśleć - westchnęła.

- A chciałabyś wiedzieć?

Zbita z tropu, oburącz odgarnęła złotobrazowe włosy z twarzy, wsparła się na stole i pochyliła do przodu. Niesforne loki znów opadły jej na twarz.

- Bez względu na to, czy się nam to podoba, jesteśmy ze sobą związani, a ja... - Urwała i popatrzyła na światła rozjaśniające ciemność nad patio. Łzy napłynęły jej do oczu.

Spojrzał na nią i zacisnął wargi.

- Silvey... - zaczął, lecz uciszyła go gestem.

- Dwa tygodnie temu nie miałam pojęcia, że w ogóle istniejesz. Teraz moja babcia jest zaręczona z twoim ojcem, ty ofiarujesz mi pożyczkę na kupno sklepu i... - spędzam za dużo czasu na rozmyślaniu o tobie, dodała w duchu. Wzięła głęboki oddech. - Zaczęłam uważać na to, co mówię w twojej obecności. Przywykłam mówić to, co myślę, i zamierzam tak zrobić.

- Nie krępuj się - rzekł Dan, lecz Silvey nie potrzebowała jego zgody. Wszystko tak w niej wezbrało, że nie udałooby mu się jej powstrzymać.

- Nie znasz mnie wcale, bo i skąd? Spotkaliśmy się w dość niezwykłych okolicznościach i ty uparłeś się mieć o mnie jak najgorsze zdanie. Ale jak już wcześniej powiedziałam, to twoje zmartwienie. - Patrzyła na niego z niechęcią. Oddychała szybko.

Oczywiście nie zareagował, przynajmniej nie tak, jak się tego mogła spodziewać.

- Chyba jednak trochę mnie już znasz. - Uśmiechnął się.

- Co? - Zamrugła ze zdziwienia.

- Naprawdę jesteś głodna? - spytał, zamiast odpowiedzieć.

- Co? Och, nie. - Przestała udawać, że je i odłożyła widelec.

- To zabierajmy się stąd - zaproponował. - Powiem Johnowi, że rozboleła cię głowa i odwozę cię do domu.

Chciała zaprotestować, ale już się oddalił. Rozmowa między panami trwała krótko i zauważyła, że była wyjątkowo uprzejma. Czowała się trochę niezręcznie, opuszczając Johna, ale przecież to on zaprosił ją, a potem zostawił samą na cały wieczór. Mimo

całej złości na Dana, nie mogła sobie wyobrazić, że byłby zdolny do czegoś podobnego.

John podszedł do niej. Oficjalnym tonem życzył jej dobrej nocy i wyraził nadzieję, że wkrótce poczuje się lepiej. Z lekkim uśmiechem ukloniła się i odeszła, jednak przez całą drogę do wyjścia czuła na plecach jego złe spojrzenie.

Dan przytrzymał ją z tyłu, pomógł przecisnąć się przez tłum i pożegnał gospodarzy, zapewniając, że wszystko będzie w porządku. Potem natychmiast zaprowadził ją do samochodu. U uruchomił silnik i pojechali w dół zbocza.

Silvey siedziała sztywno, usiłując zapanować nad wzburzonymi uczuciami. Przeważał gniew, choć był też element rozczarowania. Bolało ją, że Dan tak źle o niej myślał, ale jeszcze bardziej przykre było to, że nie wiedziała czemu. JCiedy trochę się uspokoiła, zerknęła na niego ukradkiem. Odblask z tablicy rozdzielczej oświetlał jego ponurą minę i zaciśnięte zęby.

Był tak tajemniczy, że pomyślała, iż nigdy nie zdoła go rozszyfrować. Odwróciła się i skrzyżowała ramiona na piersiach. W tym momencie nie była przekonana, że tego akurat pragnie. Mimowolnie porównywała go z Lawrence' em, wyjątkowo otwartym i czytelnym człowiekiem. Jednak to porównanie mogło być nieco niesprawiedliwe. W osobowości Dana występowały cechy, których nie stwierdziła u jego ojca. W wielu sprawach reagował tak, jakby nie chodziło o niego. Wiedziała, że bez jego przyzwolenia nie pozna go nigdy.

Dan zwolnił i zatrzymał samochód na szerokim, górującym nad miastem płaskowyzu. Znajdowali się jakieś dwieście metrów poniżej domu doktora Vargi, ale i stąd rozciągał się imponujący widok. Silvey była ciekawa, czemu przystanęli, ale postanowiła poczekać, aż Dan odezwie się pierwszy.

Dan wyłączył silnik i przez chwilę siedział, ściskając kierownicę. Potem opuścił ręce.

- Silvey - rzekł wreszcie. - Mężczyźni z rodu Wisdomów nie nadają się do dłuższych związków.

- Mówisz o ojcu, czy o sobie?

- O nas obu - odparł, spoglądając w mrok.

Silvey zacisnęła pięści, by się opanować.

- Czy zamierzasz doprowadzić do zerwania zaręczyn Lawrence'a i Leili? - spytała spokojnie.

- Nie bezpośrednio. Ale jeśli nagle pojawią się pęknięcia, będziemy się wycofywać.

- To bardzo cyniczne podejście.

- Za to życiowe.

Pewność w jego głosie znów ją zdegustowała. Zaczęła się zastanawiać, co sprawiło, że stał się taki niemiły.

- Tym razem Lawrence przekona się, że będzie inaczej.

Zobaczysz.

Dan nie zamierzał się z nią kłócić.

- W takim razie mówiłem tylko o sobie.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że i w twoim życiu był cały łańcuszek kobiet?

Kiedy odezwał się, odwróciwszy się w jej stronę, miała wrażenie, że słyszy żartobliwy ton w jego głosie.

- Czy wyglądam na erotomana, podrywacza, miłego gawędziarza?

- A skąd mam wiedzieć, Dan? - Westchnęła z irytacją. -

Przecież mówiłam, że prawie cię nie znam.

Zgodził się z tym i na kilka chwil zapanowało milczenie.

- Mówię o kobietach ojca. Moich macochach. Wychodziły za niego i zostawały z nim kilka miesięcy, najwyżej kilka lat. Do diabła, Silvey - dodał z goryczą - tyle kobiet przewinęło się przez nasze życie, że sam już nie wiem, czy którejkolwiek mógłbym zaufać... Nigdy nie wiedziałem, która z nami zostanie i na jak długo.

W jego głosie słyhać było nie tyle chłopięce narzekanie, co raczej zrezygnowany ton doświadczonego życiowo mężczyzny.

- A co z twoją matką?

- Nie pamiętam jej. Ojciec nigdy nie opowiadał o tym małżeństwie, z wyjątkiem tego, że był wówczas trudny do zniesienia. Wokół zawsze kręciło się zbyt wiele osób. Przyjaciele, pieczeniarze, interesanci potrzebujący wsparcia. Nie było mowy o życiu rodzinnym. Z perspektywy czasu, już jako dorosły, mogę przypuszczać, że bardziej przypominał wówczas szybującą po niebie kometę niż męża.

- Jaka była twoja matka?

- Wszystko, co o niej wiem, usłyszałem od innych. Pracowała jako sekretarka planu przy produkcji jednego z filmów ojca. Była młoda i oszalamiająco piękna. Rozpaczliwie pragnęła zostać aktorką, lecz nie miała za grosz talentu, więc ktoś dał jej pracę na planie. Tata mówił, że z powodu jej urody kochało się w niej całe miasteczko w rodzinnym Missouri. Zamiast szukać szczęścia w Hollywood, powinna tam zostać, wyjść za męża i mieć dużo dzieci... - Urwał na chwilę. - Umarła, kiedy miałem dwa lata.

- Och, Dan - szepnęła ze współczuciem Silvey, wyobraziwszy sobie, jak dorasta bez matki, z wciąż zmieniającymi się paniami domu. - To straszne.

- Teraz to tylko przeszłość. - Wzruszył ramionami.

- Ale odciska się na terażniejszości.

- Pod warunkiem, że do tego dopuszczamy - rzekł ponuro.

- Znów przemawia przez ciebie cynizm. - Pokręciła głową.

- Jak już ci mówiłem, jestem realistą. Mam nadzieję, że tacie i Leili się ułoży. Nie przypomina żadnej z jego byłych żon.

Silvey zastanowiła ta wypowiedź.

- Kiedy ojciec poznał moją matkę, był już przedtem żonaty i starszy od niej o dwadzieścia lat, ale musiał ją mieć. - Przez

ironiczny ton przebijała nutka goryczy. - Może byłoby lepiej, gdyby ojciec umiał być niewierny.

- Co ty gadasz? - roześmiała się z niedowierzaniem.

- Chcę przez to powiedzieć, że jako dżentelmen w każdym calu nie wdawał się w romanse, kiedy był żonaty. Przedtem się rozwodził. Zawsze dbał o to, by jego były małżonki otrzymały mnóstwo pieniędzy. Jedna z nich powiedziała mi, że najlepszy był w roli eksmałżonka. Matka wytrzymała z nim tylko kilka lat. Odeszła, kiedy miałem zaledwie kilka miesięcy. Dwa lata później umarła na zapalenie płuc.

Silvey skrzywiła się. Minęła jej cała złość, ale nie była w stanie wykonać żadnego pocieszającego gestu.

- Przykro mi, Dan.

- To było dawno temu i już przestałem się tym zamartwiać.

Wiem tylko, że mogę być taki jak ojciec, albo nie.

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

- Usiłuję wytłumaczyć ci, czemu czasami zachowuję się jak łajdak.

- Widocznie lepiej wychodzi ci to na piśmie, bo nadal nic z tego nie pojmuję.

- Ojciec zawsze tracił głowę dla kolejnej pięknej kobiety.

- I co z tego?

- Mnie się to raczej nie przytrafia.

- Co to znaczy?

- Unikam zaangażowania się. Znałem dużo kobiet. Byłem z wieloma kobietami, ale wszystkie wiedziały, że nigdy ich nie pokocham.

- I żadnej nie pokochałeś?

- Nie pozwoliłem sobie na ten luksus.

- A teraz?

- Nie wiem, cholera - westchnął. - Kiedy wyruszałem, by bronić ojca przed kolejną łowczynią posagów, nie przypuszcza-

łem, że spotkam starszą panią, która będzie troszczyła się o jego zdrowie, i jej wnuczkę tańczącą z kijem od mopa.

Silvey zamrugła i zaczęła się coraz bardziej uśmiechać.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, na swój zawily sposób, że się we mnie zadurzyłeś?

Nie odpowiedział wprost, lecz odezwał się z niezadowoleniem w głosie.

- Byłem zazdrosny, że jedziesz z Ramosem na to cholerne barbecue.

- Jestem... zdumiona. - Z wrażenia otworzyła szeroko usta.

- Nawet w połowie nie tak jak ja. Nigdy nie planowałem pozwolić jakiejś kobiecie tak mnie omotać.

Ze wszystkich odczuwanych przed chwilą emocji pozostała jedynie czułość.

- Dan, nie zawsze potrafimy zaplanować to, co się nam przytrafia.

Ujął ją za rękę. Ich palce splotły się.

- Jakbym o tym nie wiedział.

Ironia w jego głosie rozśmieszyłyby ją z pewnością, gdyby nie towarzyszyła jej nutka rezygnacji. Spojrzała mu w oczy, usiłując coś z nich wyczytać, lecz twarz Dana pogrążona była w mroku. Myśl, że mogłaby mieć nad nim emocjonalną przewagę choćby w minimalnym stopniu, wstrząsnęła nią.

Dan pochylił się i jedną ręką delikatnie, lecz stanowczo ujął ją za podbródek. Silvey zdziwiła się, a Dan szepnął coś uspokajającym tonem, czego nie zrozumiała. Teraz mogła dostrzec jego oczy. Pociemniały pod wpływem napięcia. Pomimo ciepłego wieczoru, po plecach przebiegły jej zimne ciarki. Zadrzała.

- Skupiłem się na karierze naukowej. To mi wystarczy.

- Naprawdę? To dlatego wybrałeś sobie dwie specjalizacje? Chcesz wypełnić sobie każdą chwilę?

- Częściowo.



Silvey zrobiło się go żal. Od pierwszej chwili wiedziała, że Dan jest zdecydowanym i pewnym siebie człowiekiem. Szkoda tylko, że używał tych zalet do izolowania się od życia.

- Unikałem zaangażowania się przez całe moje dorosłe życie - dodał.

- Naprawdę? To fatalnie. - Przymknęła oczy, koncentrując się na jego dotyku.

- Przekonałem się na własne oczy, że zaangażowanie uczuciowe naraża mężczyznę na szereg niebezpieczeństw, szereg niezręcznych sytuacji, które na ogół można rozwiązać jedynie za pomocą książeczki czekowej. - Końcem palca muskał jej ucho. - Wiem, że to duży mankament, ale nauczyłem się z tym żyć.

- Och, Dan - szepnęła smutno. W jej głosie dała się jednak słyszeć nutka pożądania. Wydała cichutki pomruk, kiedy zaczęła ogarniać ją fala gorąca. Musiała zмагаć się ze zmysłową mgiełką zaciemniająca jej jasność rozumowania. - To nie jest fair, Danie Wisdom.

- Wprost przeciwnie. Wyjaśniam ci dokładnie mój punkt widzenia. - Przysunął się bliżej. Dzieliły ich zaledwie centymetry. - Muszę ci powiedzieć, Silvey, że nie zamierzam pozwolić żadnej kobiecie mieć nade mną władzy.

- Co w takim razie teraz robisz? - szepnęła niepewnie.

- Sam nie wiem. - Dan wsunął palce w jej włosy. Głowa Silvey pochyliła się na jego ramię.

Wiedziała, co zaraz zrobi, ale zetknięcie ich ust było dla niej wstrząsem. Nastąpił długi, powolny pocałunek, podczas którego poznawali się nawzajem. Siedzieli bokiem do siebie, w bardzo niewygodnej pozycji, lecz wcale im to nie przeszkadzało.

Silvey była zbyt zniewolona smakiem jego ust i bliskością, zbyt wstrząśnięta głębią doznań, zbyt rozdrażniona drugim napięciem, by zwracać uwagę na taki drobiazg. Odwzajemniała

pocałunek mocno, z całej mocy. Jedną rękę przesunęła wzdłuż jego ramienia, wyczuwając twarde mięśnie, potem objęła go za szyję.

Nie wiedziała, ile czasu trwał pocałunek, ale bardzo starała się go przedłużyć. Chciała uzyskać dzięki niemu odpowiedź na wszystkie pytania, które nurtowały ją od chwili, gdy poznała Dana.

Nie potrafiła stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że całował ją w wyrachowany, cyniczny sposób, jednak z pewnością ten jego pocałunek nie miał nic wspólnego z tym ciepłym, wspaniałym uczuciem pożądania, które rozlało się po niej gorącym płomieniem. Przemknęło jej przez myśl, że tego właściwie powinna się po sobie spodziewać. Kiedy tańczyła z nim, zaczęła podejrzewać, że drzemią w niej głębokie pokłady namiętności. Nie przypuszczała jedynie, że wyzwolą się tak szybko i gwałtownie.

Wreszcie Dan oderwał się od niej, przesunął usta w bok i cmoknął ją lekko w policzek.

- Dan - szepnęła łamiącym się głosem. - Nie wiem, co ty o tym sądzisz, ale dla mnie nie wygląda to wcale na brak zaangażowania.

Dan znieruchomiał nagle. Usta wciąż trzymał na jej policzku. Silvey poczuła, jak łaskoczą ją jego rzęsy. Prawdopodobnie zamknął oczy, próbując zdusić w sobie emocje. Bardzo chciała je poznać.

Ujął jej ręce i delikatnie, acz stanowczo, odsunął ją od siebie.

- Masz rację. Kiedy chodzi o ciebie, robię co innego, niż mówię.

Silvey popatrzyła na niego z przestraszeniem. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Podniecenie spowodowane pocałunkiem i bliskością wciąż trwało, mimo że ją odsunął. Nadal pragnęła dotyku jego ust, choć przeproszał ją za to, co zaszło.

Jak dotąd, tego wieczoru, zdążył ją dotknąć i rozżłościć.

Teraz czuła smutek i wewnętrzną pustkę. Zamrugła gwałtownie, pragnąc zatrzymać cisnące się do oczu łzy. Odrzuciła w tył głowę i osunęła się na swoje siedzenie.

- W takim razie zrobię odwrotnie, niż uczyła mnie mama.

- To znaczy?

- Moja mama - Silvey wysunęła podbródek - zawsze powtarzała, że czyny mówią głośniejszą niż słowa. Jednak w twoim przypadku zamierzam sądzić według słów, nie czynów.

- A to dlaczego? - Zerknął na nią.

- Ponieważ najwyraźniej nie wiesz, czego chcesz.

- Mylisz się, Silvey - rzekł z lekką przekorą w głosie.

- Wiem dokładnie, czego chcę, lecz ty nie jesteś typem kobiety, który mógłby mi to zapewnić. Przynajmniej na razie.

Odwrociła gwałtownie głowę, chcąc spojrzeć mu w oczy.

- Masz na myśli romans?

- Właśnie. To nie powinno się stać - wypalił bez ogródek.

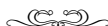
- Najlepiej zrobimy, trzymając się z daleka od siebie.

Silvey nie bardzo wiedziała, czemu ją to zabolalo. Przecież Dan miał rację. Nie była typem kobiety, która wdawała się w przygodne romanse. Żeby pójść z mężczyzną do łóżka, musiałyby go najpierw pokochać, ale jak mogłyby kochać kogoś, komu ona byłaby obojętna? Kogoś, kto nie wierzy w miłość? Chociaż czuła się odepchnięta i upokorzona, starała się, by jej głos brzmiał dumnie.

- Masz rację. Udzielasz mi pożyczki, którą muszę spłacić w umówionym terminie. Łączą nas jedynie interesy.

- Silvey, szukasz samą siebie. Łączy nas o wiele więcej niż tylko interesy, ale oboje potrzebujemy czasu, żeby zdecydować, co z tym zrobić. Jak już powiedziałem, nie powinniśmy się widywać, przynajmniej przez jakiś czas... - Urwał na chwilę, czekając na jakiś odzew z jej strony. Nie powiedziała nic, więc dodał: - Odwiozę cię do domu.

W milczeniu skinęła głową. Bała się, że Dan usłyszy w jej głosie rozpacz.



Nie widziała go od tygodnia. Od tego wieczoru, kiedy po odwiezieniu jej do domu z przyjęcia u doktora Vargi, odprowadził ją do drzwi, uprzejmie życzył dobrej nocy i natychmiast odszedł. Następnego dnia zadzwonił jego adwokat, informując, że dokumenty dotyczące pożyczki są już gotowe. Z chwilą podpisania umowy pieniądze zostaną przekazane Silvey.

Mając nadzieję spotkać Dana w biurze, włożyła bladożółty letni kostium i pojechała do śródmieścia Tucson, niestety jedynie po to, by sfinalizować sprawę z jego sekretarką. Wracała z czekiem na sporą sumę i ciężkim sercem. Wmawiała sobie po drodze, że wcale go nie kocha, więc nie jest rozczarowana, że go nie zastała, tylko wciąż gnębi ją uwaga Dana o rozterkach emocjonalnych, w rozwiązywaniu których przydaje się książeczka czekowa. Wiedziała, że to nie odnosiło się do niej, ale mimo to czuła się obrażona.

Natychmiast po zdeponowaniu czeku spotkała się z dotychczasowym właścicielem. Yogurt Gallery stała się jej własnością. Na kilka dni zamknęła sklep i obiecując podwyżki, zaangażowała swoich pracowników do pomocy w malowaniu i przy zmianie tapet. W pobliżu drzwi urządziła wabiącą oko ekspozycję rękodzieła.

Tymczasem grupa społeczników, nad którą Leila dała jej dowództwo, działała niestrudzenie. Chociaż Silvey bardzo kochała swoją babkę, wołałaby, aby ten zaszczyt spadł na kogoś innego. Żałowała, że się na to zgodziła, ale wiedziała, że Leila polega jedynie na niej.

Pewnego popołudnia posłusznie zwołała w domu zebranie „Wojowników Leili”. Porządek dzienny przewidywał picie le-

moniady w kuchni, przegryzanie ciasteczkami i omawianie strategii działania.

Gdy już zasiedli, Frank i Lupe Beltran, dziarskie starsze małżeństwo, oznajmili, że wreszcie udało się im nakłonić inspektora do przeprowadzenia nie zapowiedzianej wizyty w domu starców, w którym panowały opłakane warunki.

Silvey popatrzyła na nich z niepokojem.

- O? Jak wam się to udało?

- Koczowaliśmy przed jego drzwiami tak długo, aż się zgodził - uśmiechnęła się Lupe.

- Chyba nie w smak mu była perspektywa potykania się co dzień przed progiem gabinetu o dwie osoby zaopatrzone w napoje, kanapki i śpiwory - dodał Frank.

- Co za ciasnota poglądów - uśmiechnęła się Silvey, wyobrażając sobie tę sytuację. - Miejmy nadzieję, że po jego interwencji dom będzie lśnił czystością. - Popatrzyła po zebranych. - Następny punkt.

- Wykopaliska na górze Branaman - odparł z wyraźną ulgą Reed Madison. Był najstarszym i najbardziej wygadany członkiem grupy. - Doszły nas słuchy, że uczelnia w Sonorze ma zamiar je rozpocząć. Próbowałem skontaktować się z szefem wydziału archeologii, lecz powiedziano mi, że przeszedł na emeryturę z powodu złego stanu zdrowia. Widocznie ktoś, kogo wykopał, rzucił na niego kłutwę - zachichotał staruszek. - Nikt poza tym nie chciał ze mną gadać.

Nawet doktor Daniel Wisdom, pomyślała Silvey. Mogłaby im podpowiedzieć, żeby się z nim porozumieli, ale na razie był tylko profesorem. Jeśli prace na górze Branaman powiodą się, może zostanie szefem wydziału. Tylko że wówczas zbezczeszczył wszystko, co było dla niej najświętsze. W dodatku powiedział jej, żeby nie wchodziła mu w drogę. Dan wypełnił obietnicę udzielenia jej pożyczki. Wątpiła, że zażąda jej zwrotu, jeśli

będzie utrudniała mu uzyskanie zgody na wykopaliska. Jednak pocałował ją w oszalałymi sposob i niemal jednym tchem uprzedził, że nie pozwoli, by jakakolwiek kobieta miała nad nim przewagę.

Śmiechy ucichły i Reed mówił dalej.

- Skontaktowałem się z radami kilku plemion z naszego stanu. Zgodzili się wysłać list protestacyjny przeciwko planowanym pracom.

- Nie mogą się wypowiadać w imieniu Indian Moreno - zauważyła Silvey. - Nie należą do tego plemienia.

- A co na temat tej kwestii mówi prawo? - dopytywał się Frank.

- Tereny cmentarne nie mogą być naruszone, chyba że dane plemię chce przenieść szczątki swoich przodków w inne miejsce, lub jeśli groby są zagrożone przez prace budowlane. W tym przypadku są to plany budowy dojazdu do teleskopu.

- Musimy powstrzymać ten projekt - zaperzył się Reed.

- Czy droga nie może przebiegać w innym miejscu?

- Pewnie tak - odparła Silvey. - Może uda się do tego doprowadzić, jeśli powstrzymamy prace wykopaliskowe.

- Musimy zrobić coś więcej - gorączkowała się Lupe.

- Co takiego? - spytała Silvey, choć domyślała się, co się święci.

- Czynnici zaprotestować - oświadczyła Lupe i wojowniczym wzrokiem powiodła po zgromadzonych, czym wymogła ich poparcie.

- To jest ogrodzony teren rządowy - tłumaczyła Silvey. - Nie możemy wkroczyć tam bez zezwolenia.

- To śmieszne, by obywatele Stanów Zjednoczonych musieli mieć zezwolenia na odwiedzanie swojej własności! - oburzyła się Lupe.

- Wiesz, że chodzi o powstrzymanie wandalów, dzikich loka-

torów i kłusowników. - Silvey rozglądała się po zebranych. Podzielała ich uczucia, ale często nie zgadzała się z ich metodami.

- Nie ma sensu, żebyśmy się tam wybierali - zauważył Frank. - Nie będzie tam żadnych dziennikarzy, a więc nasz protest nie zostanie nagłośniony przez media. - Zamyślił się.

- Trzeba czegoś bardziej rzucającego się w oczy.

Kiedy reszta zastanawiała się, co zrobić, Silvey przypomniała sobie raz jeszcze uwagi Dana. Doszła jednak do wniosku, że musi pozostać wierna swoim przekonaniom. Przypomniała sobie, jak dumny był dziadek ze swego indiańskiego pochodzenia, nasłuchiwała się dużo jego opowieści o plemiennych obyczajach i kulcie przodków. Wzięła głęboki oddech.

- Uczelnia w Sonorze już wystąpiła o zgodę na wykopaliska

- powiedziała, natychmiast skupiając uwagę grupy. - Jeżeli zbierzemy resztę naszych ludzi i zaczniemy pikietować uczelnię, na pewno zwabimy ekipę telewizyjną.

Reed aż podskoczył.

- Tak, to wspaniały pomysł!

- Ale tym razem zrobimy to legalnie - pogroziła mu palcem Silvey. - Uzyskamy zgodę na zgromadzenie się przed uczelnią. Proszę, aby tym razem nie było żadnych drak.

Jej podwładni zrobili niewinne miny.

- Oczywiście, Silvey. Jak każesz.

Silvey, znając ich wyczyny, nie czuła się całkowicie przekonana.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Uczelnia Sonora znajdowała się na wschodnim krańcu miasta, w otoczeniu parków i osiedli. Gwałtowny rozwój budownictwa lat osiemdziesiątych w Tucson osłabł, tak więc otoczenie położonego o półtora kilometra od autostrady międzystanowej miasteczka akademickiego pozostawało nie oszpecone przez cywilizację. Było tam dość miejsca na wybudowanie muzeum, a łatwy dostęp od szosy zachęcał potencjalnych zwiedzających.

Silvey zastała tam już kilkoro „Wojowników Leili”. Zaparkowała samochód po drugiej stronie drogi, opuściła szybę i otworzyła puszkę z napojem limonowym. Orzeźwiając się zimnym płynem, układała plan na popołudnie.

Grupa powinna przemaszerować spokojnie, niosąc tablice z wypisanym protestem przeciwko naruszaniu grobów Indian Moreno. Kiedy przybędzie ekipa telewizyjna, Reed Madison przeczyta przygotowane oświadczenie i demonstranci rozejdą się. Publiczne wystąpienia były zarezerwowane dla Leili, ale Silvey uhonorowała tym Reeda w zamian za obietnicę, że nie będzie wznosił wraz z manifestantami żadnych agresywnych okrzyków.

Łyknęła trochę napoju i raz jeszcze zlustrowała okolicę. Ponieważ od miasteczka akademickiego oddzielał ich szeroki skwer, nie będzie kłopotów z upilnowaniem grupy przed wkroczeniem na teren prywatny.

Nie chciała przeprowadzić „Wojownikom”, ale na szczęście nie



potrwa to długo. Leila i Lawrence wrócą za kilka tygodni i Silvey nie przypuszczała, żeby babcia wciąż pragnęła uczestniczyć w działalności społecznej. Ubiegłej nocy Leila dzwoniła do niej. Była bardzo podekscytowana i zachwycona swoim apartamentem w hotelu Beverly Hills. Nie mogła nachwalić się Lawrence'a, który już przystąpił do zdjęć w miniseriale, ją zaś obciążył wdzięcznym zajęciem poznawania Hollywood na własną rękę. Babcia twierdziła, że wszystko jest w porządku i że nawet Dan odbył już długą rozmowę telefoniczną z ojcem. Dodała również, że obawiając się planów Dana dotyczących wykopalisk na górze Branaman, troszkę podsłuchiwała tę rozmowę i uważa, że Silvey powinna zaniechać akcji protestacyjnej.

Silvey próbowała ją uspokoić, choć sama była zaniepokojona, lecz z zupełnie innego powodu. Podejrzała, iż męska rozmowa mogła mieć związek ze zbliżającym się nieuchronnie terminem ślubu, chociaż wierzyła Danowi, kiedy mówił, że nie będzie występował otwarcie przeciwko temu małżeństwu.

Na myśl o Danie między brwiami Silvey pojawiła się pionowa zmarszczka. Wiedziała doskonale, co obiecała, kiedy Dan zorientował się w jej planach. Uprzedził ją wówczas, że jeśli wejdzie mu w drogę, wycofa się z udzielenia jej pożyczki. Teraz, kiedy otrzymała już pieniądze, czuła, że kontynuując protest, jest wobec niego nie w porządku, jednak nie mogła się z tego wycofać. To było dla niej ważne, nie mówiąc o tym, że pozostawienie „Wojowników Leili” bez nadzoru mogło doprowadzić do nieobliczalnej w skutkach katastrofy.

Dopiła resztkę napoju i rozejrzała się. Zebrała się już cała grupa. Ekipa telewizyjna powinna zjawić się za kwadrans. Doskonale. Lepiej nie przetrzymywać zbyt długo wiekowych „Wojowników” w palących promieniach słońca.

Odłożyła pustą puszkę i sięgnęła po znajdującą się na tylnym siedzeniu tablicę z hasłem. Kątem oka podchwyciła jakiś ruch.

Odwróciła się i zobaczyła, że tuż za jej autem zatrzymuje się samochód Dana Wisdoma.

Ze zdenerwowania palce zacisnęły się jej mocniej na drzewcu tablicy. Nie widziała go od tego pamiętnego wieczoru, kiedy najpierw wyznał, że nie chce się angażować, a potem całował ją do utraty tchu. Przypomniawszy sobie, jak czuła się w jego ramionach, uznała za zupełnie usprawiedliwione trzepotanie serca na jego widok.

Wyskoczył z samochodu i ruszył wprost ku niej. Miał na sobie dżinsy, granatowy podkoszulek i wcale nie wyglądał na profesora. Gwałtownie przełknęła ślinę, kiedy Dan zatrzymał się przy drzwiach pasażera i wetknął głowę przez otwarte okno.

- Co tu robisz, Silvey? - spytał. Wtem dostrzegł tablicę z napisem „Niech Indianie Moreno spoczywają w spokoju”. Przeczytał to hasło na głos. - Mało oryginalne - skomentował, spoglądając jej w oczy.

- To akurat jedno z naszych najłagodniejszych haseł - powiedziała, przeklinając się w duchu za słabość w głosie.

- Naszych?

Wygramoliła się z auta i pokazała na zgromadzonych. Maszerowali w kółko i machali do niej przyjaźnie. Dumnie unosili w górę tablice.

Dan przyglądał się im przez chwilę, potem popatrzył z rozbawieniem na Silvey.

- Co ty robisz? Prowadzisz gimnastykę grupy emerytów? Silvey wzięła głęboki oddech.

- To jest ta grupa społeczników, o których rozmawiałam z babcią na lotnisku.

- To są ci jej działacze?

- „Wojownicy Leili”.

Wybuchnął śmiechem.

- Wyglądają naprawdę groźnie.
- Muszę poinformować pana, doktorze Wisdom, że są wyjątkowo skuteczni - odparła urażona.

Dan wziął się pod boki i spoglądał na nią z rozbawieniem.

- Ile razy podczas każdej akcji protestacyjnej musisz ich reanimować tlenem?

- Może i są starzy, ale potrafią wykonać swoje zadanie.
- Jakie zadanie? Paść na zawał? Zawstydzić mnie? Albo raczej upewnić mnie, że nasza umowa została anulowana?

- Nie ośmielisz się - powiedziała twardo, choć wcale nie była o tym przekonana. Wysunęła podbródek do przodu.

Spiorunował ją wzrokiem.

- Rozumiem. Wydaje ci się, że skoro umowa została podpisana, możesz mnie lekceważyć.

Silvey omal nie złamała drzewca.

- Nigdy nie stawiałeś warunków zabraniających mi organizowania pokojowej manifestacji.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. - Znów zerknął na grupkę manifestantów. - Skąd wystraszyłaś tę bandę?

- Opiekowałam się nimi.

- Jesteś pewna, że tego potrzebowali?

Nie, pomyślała.

- Obiecałam to mojej babci.

Dan zaczął się bujać na obcasach.

- Innymi słowy, wobec jednych ludzi dotrzymujesz zobowiązań, a wobec innych nie? Sądziłem, że zawarliśmy porozumienie.

- Nie. Wydałeś mi rozkaz, a ja postanowiłam się nie podporządkować. To, co robię, jest dla mnie ważne - upierała się. - To, co ty chcesz zrobić, jest złe.

- A skąd to wiesz, do cholery? Nie masz pojęcia, co zamierzam. - Zdenerwowany odszedł kilka kroków i zawrócił. Prze-

sunął ręką po włosach, włożył okulary. - Jak długo ci ludzie tu będą?

Wzruszyła ramionami.

- Tylko do przyjazdu telewizji - odparła z niewinną miną.

- Telewizja? - Oczy Dana rozszerzyły się. - O Boże...

- Popatrzył przez chwilę na Silvey. - Słuchaj, a może wybrała-bys się ze mną na górę i zobaczyła, o co mi chodzi? Może wtedy przestałabyś się sprzeciwiać.

Silvey zasłoniła się tablicą.

- Mam jechać z tobą? Na górę Branaman? - Starala się ukryć podniecenie w głosie. Możliwość obejrzenia nietkniętego cmentarzyska przekraczała jej najśmielsze marzenia.

- Właśnie. Doszedłem do wniosku, że jedyną metodą przekonania cię, będzie pokazanie ci, co naprawdę chcę zrobić.

Spuściła wzrok, żeby nie dostrzegł zainteresowania w jej oczach.

- Cóż, to może być ciekawe.

- Lepiej skorzystaj z mojej oferty. Następnej nie będzie - rzekł kpiącym tonem. Potem dodał z rozpaczą w głosie: - Powtarzałem sobie, że nie powinienem mieć z tobą nic wspólnego. Tłumaczyłem sobie, że to głupota, ale chyba nie słuchałem siebie zbyt uważnie.

- Mówiłeś mi to tamtej nocy. Możesz mi wierzyć, że pamiętam.

Spojrzał na nią ze złością.

- Dan, czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem nieodparcie pociągająca, czy raczej niesłychanie irytująca?

- Rzuć monetę, ale to i tak wszystko jedno - westchnął.

Zacisnęła usta i obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

- Skoro mnie tak ładnie prosisz i nalegasz, pojedę tam z przyjemnością.

- Doskonale. - Odwrócił się i zaczął iść w kierunku swoje-

go samochodu. Przystanął na moment i dodał: - Sobota rano. Wpadnę po ciebie o dziewiątej. Czy masz buty turystyczne nadające się do pójścia w góry?

- Tak.

- Włóż je i weź coś chroniącego od słońca. To będzie długi i męczący dzień.

Nie żartował, mimo iż przez cały czas zachowywał się kpiąco i z dystansem.

- Wezmę też jedzenie! - krzyknęła w ślad za nim. - To na wypadek, gdybyś chciał mnie zamorzyć głodem.

- Gdybym uważał, że to podziła, spróbowałbym tego już dawniej.

Przyglądała się, jak daje nura do samochodu, przejeżdża na drugą stronę drogi i ostro rusza w kierunku budynku administracji.

O wiele łatwiej by jej było, gdyby nie była nim aż tak zauroczona, gdyby nie myślała o nim niemal bez przerwy. Owszem, łączył ich związek kredytodawcy z kredytobiorcą, ale nie o to jej przecież chodziło.

Pochylając głowę, odwróciła się i ruszyła noga za nogą w stronę grupy.

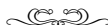
Roztrząsała to, co usłyszała od niego w samochodzie po wyjeździe z przyjęcia w domu doktora Vargi. Nic dziwnego, że był taki konsekwentny, biorąc pod uwagę jego doświadczenia młodości. Uważał, że musi panować nad swoimi uczuciami. Wtedy pozwolił wymknąć im się spod kontroli i Silvey miała nadzieję, że stanie się tak ponownie.

Chciała być z nim sam na sam i wyjazd na górę Branaman dawał jej znakomitą do tego okazję. Przynajmniej nie wspominał o tym, że ktoś ma jeszcze z nimi jechać.

Silvey uniosła głowę i uśmiechnęła się. Ta wycieczka nie leżała w jego planach. Może być fajnie. Już oferowała się, że

przygotuje jedzenie. Zrobi improwizowany piknik. Bóg wie, że Dan Wisdom zaznał mało przyjemności w swym życiu i ona postara się to zmienić. Owszem, uważa ją za osobę irytującą, ale zarazem bardzo pociągającą. Całował ją tak, jakby mimo wszystko żywił do niej pewne uczucia. Na tym można już zacząć budować przyszłość.

Pocieszona tymi myślami zaczęła kroczyć lekko wraz z grupą. Czekali na przyjazd ekipy telewizyjnej.



Sobotni poranek wstał gorący, bez żadnej nadziei na deszcz. Silvey włożyła żółtą bawełnianą bluzkę i szorty. Pomyślała, że wysłużone pionierki mogą popsuć jej prezencję, ale postanowiła drobiazgowo wypełnić polecenia Dana. O ósmej zaczęła pakować przygotowane poprzedniego dnia wiktuały. Kanapki z kurczakiem, marchewki i pałeczki z selera włożyła do torby plastikowej. Upiekła czekoladowe ciasteczka z orzechami. Spróbowała jedno. Jeśli prawdą jest, że do serca mężczyzny najłatwiej trafić przez żołądek, to Dan Wisdom nie miał najmniejszej szansy się wymigać. Ułożyła wszystko w koszu piknikowym. Przygotowała koc i obrus, a następnie zaniósła wszystko pod drzwi. Potem wróciła do kuchni po turystyczną chłodziarkę z napojami.

W połowie drogi przystanęła i westchnęła z irytacją. Zapomniała kupić tłuczonego lodu. Zerknęła na zegarek i wyliczyła sobie, że przed przyjazdem Dana zdąży kupić lód i wrócić ze sklepu. Złapała kluczyki, torebkę i wybiegła z domu.

W sklepie zaopatrzyła się w lód, ale kiedy wsiadła do samochodu, silnik nie dał się uruchomić. Po przekręceniu kluczyka rozległ się słaby dźwięk, potem wszystko ucichło. Akumulator! Silvey przycisnęła czoło do kierownicy. Zakichane szczęście!

Nie było czasu na wzywanie pomocy drogowej. Dan zjawi

się łąda chwila przed jej domem i nie będzie wiedział, gdzie jej szukać. Będzie musiała pójść pieszo z nadzieją, że lód nie roztopi się po drodze.

Wróciła do sklepu i poprosiła właściciela o zgodę na pozostawienie auta do poniedziałku. Pomógł jej nawet zepchnąć samochód na bok i zapewnił, że wszystko będzie w porządku. Silvey podziękowała mu i spojrzawszy z wyrzutem na mazdę, ruszyła w stronę domu.

Minęła zaledwie kilka przecznic, kiedy obok zatrzymał się jakiś samochód i ktoś ją zawołał. Zgrzana, zdenerwowana, z mokrymi plamami od roztopionego lodu na koszulce, nie zwracała uwagi na kierowcę, który na pewno nie miał w stosunku do niej dobrych zamiarów. Kiedy krzyknął znowu, obejrzała się, by mu wygarnąć. Zobaczyła Johna Ramosa.

- Hej - powiedział - podwieźć cię?

W innych okolicznościach zapewne by go spławiła. Wciąż miała mu za złe, że na przyjęciu u doktora Vargi zostawił ją samą. Uświadomiła sobie, że zaprosił ją tylko po to, by zdenerwować Dana. Jednak spieszyło się jej do domu, a Ramos miał sprawny samochód.

Otworzyła drzwi i wsiadła.

- Jadę w twoją stronę - zauważył.

- Cieszę się, że akurat przejeżdżałeś - odparła, wyglądając przez okno. Denerwowała się, że Dan może pojawić się łąda chwila

- Jadę do mojej byłej żony. Ma nowe mieszkanie, za które płacę - wyjaśnił. - Muszę podpisać jakieś dokumenty podatkowe.

Słyszac te narzekania, Silvey zgrzytnęła zębami. Przykro jej było słyszeć, że małżeństwo Ramosa się rozpadło, lecz rozumiała, z jakiej przyczyny. Jaka kobieta wytrzyma z facetem, który cały czas się nad sobą użala?

- Wsiadła ci lodówka? - spytał, spoglądając na worek

z lodem.

- Nie. Potrzebuję schłodzić napoje w turystycznej lodówce.
- Wybierasz się na piknik?
- Tak. - Silvey miała nadzieję, że John nie będzie pytał

dalej.

- Jakaś nadzwyczajna wyprawa?

Doszła do wniosku, że prawda nikomu nie zaszkodzi. Była dumna, że wybiera się gdzieś z Danem, a jego wizyty na górze były zapewne powszechnie znane na uczelni.

- Na górę Branaman z Danem Wisdomem. Zamierza pokazać mi teren przyszłych wykopalisk.

- O ile dostanie zezwolenie - dodał John, popatrując na nią z ukosa. - Prędeż mi jednak kaktus wyrośnie na dłoni...

- To całkiem możliwe - odparła, urażona jego drwiącym tonem.

Ucieszyła się, widząc swój dom, ale przy podejździe parkowała jakaś beżowa furgonetka. Dan stał wsparty o bok pojazdu, ramiona skrzyżował na piersi, nogę założył na nogę. Patrzył w ich stronę. Pomimo niedbalej pozy Silvey czuła wprost bijące od niego napięcie.

John zatrzymał auto i skinął głową Danowi. Ten odwzajemnił mu się chłodnym spojrzeniem. John poczerwieniał.

- Niektórzy to się w czepku urodzili - rzekł z goryczą. - Nie muszą ciężko pracować.

Silvey wysiadła właśnie z samochodu, mamrocząc jakieś podziękowania. Przystanąła i obejrzała się.

- To nieprawda, John. Dan ciężko pracuje. Jest za to szanowany.

John wyduł wargi.

- A ty na niego lecisz.

Rozwścieczona Silvey trzasnęła drzwiami. John ruszył z piśkiem opon.

Wzburzona przycinkami Ramosa odwróciła się w stronę domu



i zobaczyła, że Dan się jej przygląda. Stał na szeroko rozstawionych nogach, kciuki zatknął za pasek spodni z wieloma kieszeniami.

Czuąc, że zamierza coś powiedzieć na temat Johna Ramosa, Silvey pochyliła głowę i otaksowała go wzrokiem.

- A gdzie hełm korkowy?

Nie spuszczać z niej wzroku, sięgnął do furgonetki opatrzonej napisem „Uczelnia Sonora” i wyjął ciemnobrązowy miękki kapelusz z szerokim rondem. Włożył go na głowę i spojrzął na nią wyczekująco.

- Wygląda na to, że wyruszasz na wyprawę z Indianą Jonesem! - uśmiechnęła się Silvey.

Dan wziął od niej torbę z lodem. Woda kapiała na chodnik.

- Wziąłem ten kapelusz ze starego domu taty w Kalifornii. Nosił go w filmie „Nieujarzmioty”, który nakręcił w latach pięćdziesiątych. Może widziałas ten film?

Bardzo chciałyby wiedzieć, co Dan w tej chwili "naprawdę myśli. Wyraz jego twarzy nic jej nie mówił. Nie znosiła, kiedy krążyli wokół drażliwego tematu.

Wyjęła z torebki klucz i ruszyła w kierunku drzwi.

- Nie widziałam filmu, ale kapelusz jest w twoim stylu.

Dan milczał przez chwilę.

- Gdzie jest twoje auto? - spytał wreszcie.

Silvey otworzyła drzwi i spojrzała na niego przez ramię. Przypomniała sobie, jak mówił, że jest zazdrosny o Johna. Wtedy to ją rozbawiło, ale teraz czuła się podle, wiedząc, że Dan znów źle o niej myśli.

- Na pewno nie przed domem Johna Ramosa, jeśli o to ci chodzi - odparła drżącym głosem. Była na siebie zła, że zamiast wzruszyć ramionami, zaczyna się usprawiedliwiać.

- Nie o to mi chodziło.

Silvey zaprosiła go do środka dumnym skinieniem głowy i pokazała na stojący przy drzwiach kosz piknikowy.

- Kiedy pakowałam jedzenie, zorientowałam się, że zapomniałam kupić lodu do napojów. Mój samochód rozkraczył się pod sklepem. Wygląda na to, że siadł mi akumulator. John akurat przejeżdżał obok i podwiózł mnie.

- To miło z jego strony.

Nie było w tym nic miłego, co podkreślał zresztą ton jego głosu. Silvey uznała za stosowne nie przepraszać za to, że się spóźniła, ani za to, że skorzystała z uprzejmości Johna. Nie mieli przecież w stosunku do siebie żadnych zobowiązań.

Cisnęła torebkę na kanapę i poszła do kuchni. Dan zaniósł tam worek lodu. Włożył go do torby z turystyczną chłodziarką, a Silvey ułożyła tam starannie butelki i puszki z wodą sodową. Zamknęła wieczko i zatrasnęła zamek. Dan powoli i metodycznie składał plastikowy worek po lodzie. Rozglądał się, szukając kubła na śmieci.

Silvey sięgnęła po worek, lecz przytrzymał go, zmuszając ją, by spojrzała na niego.

Zerknęła nieśmiało. Dan uśmiechał się lekko.

- Dzień dobry, Silvanno - rzekł oficjalnie.

Napięcie męczące Silvey już od kilku minut lekko zmalowało.

- Dzień dobry, Danielu.

Wyjął z jej rąk worek i wrzucił do zlewu. Potem ujął ją za nadgarstki. Położył jej dłonie na swoich ramionach. Silvey zamrugała ze zdziwieniem, kiedy otaczał ją rękoma. Przyciągał ją bliżej, aż przycisnął do siebie. Zdumienie zmieniło się w rozkoszne podekscytowanie.

- Może zaczniemy dzień od właściwego akcentu? - spytał zmienionym przez emocje głosem.

Miała nadzieję, że to skutek pożądania, takiego samego, jakie już rozpalało w niej krew.

- Od jakiego akcentu?

Pochylił się i cmoknął ją w czoło.

- Trochę bardziej przyjaznego.

Och, jak pięknie pachniał. Bezwstydnie wsunęła nos w rozpiętą koszulę.

- Myślisz, że możemy się zaprzyjaźnić?
- To zależy. - Musnął wargami jej włosy.

Uniosła głowę. Wargi przesunęły się na policzek. Chciała pocałować go, ale się zawstydziała.

- Od czego?
- Jak bardzo tego pragniesz.

Bliskość Dana przyćmiła jej zmysły.

- Bardzo - westchnęła.

Dan zaśmiał się i delikatnie pocałował ją. Silvey aż jęknęła z rozkoszy. Wspięła się na palce i objęła go za szyję. Wiedziała, że powinna stawiać opór. Robił z nią, co chciał, a ona wcale nie protestowała.

Wreszcie przestał i odsunął się, spoglądając na nią z rozba-  
wieniem.

- Powiedziałbym, że w skali umacniania przyjaźni, ten pocałunek osiągnął dziesięć punktów.

Silvey wciągnęła niepewnie powietrze i dotknęła językiem warg. Były rozgrzane, a ona uwielbiała to uczucie. Westchnęła głęboko.

- Nie możemy dojść do dwudziestu punktów?

Roześmiał się i puścił ją.

- Jeśli spróbujemy, to podejrzewam, że nigdzie się dziś nie ruszymy.

Silvey była dogłębnie rozczarowana, ale starała się to ukryć. Popatrzyła na niego wyzywająco.

- No tak. Masz rację. Nie możemy pozwolić, żeby coś nas zatrzymało, prawda? W końcu chcesz mnie przekonać, że powinienś prowadzić tam wykopaliska, ja zaś zamierzam udowodnić ci coś wręcz przeciwnego.

Dan obdarzył ją jednym z tych swoich nieprzeniknionych spojrzeń i schylił się po torbę z napojami.

- Zatem ruszajmy. Jadąc przez miasto, kupimy ci nowy akumulator. Potrafię go zamontować w samochodzie.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem, zamykając drzwi. Dan był dziś dla niej wyjątkowo hojny, jeśli idzie o czas i troskę. Pragnęła, by okazał się równie hojny w sferze uczuć.

- Dziękuję, Dan. Jestem ci zobowiązana.

Zamknęli dom, umieścili jedzenie w schowku na tyle furgonetki i wyjechali z miasta.

Góra Branaman znajdowała się na północnym wschodzie od miasta, więc najpierw jechali drogą między stanową numer 10, potem skręcili na szosę stanową wiodącą wzdłuż terenu administrowanego przez Biuro Zarządu Ziemi. Mijali po drodze krzewy *mesquite* i brązowe wzgórza.

Furgonetka nie miała klimatyzacji, więc opuścili szyby w oknach, chłodząc się gorącym powietrzem pustyni. Te dalekie od ideału warunki wcale im nie przeszkadzały. Dan pytał Silvey o sytuację w sklepie i wyglądało na to, że zawarli rozejm.

Z entuzjazmem opowiadała mu o remoncie, dzięki któremu sklep będzie miał bardziej elegancki wystrój wnętrza, co na pewno przysporzy mu nowych bogatych klientów, a ona będzie mogła szybciej zwrócić mu dług.

- To tylko pieniądze - machnęła lekceważąco ręką Dan.

- Mam ich dużo.

Silvey zerknęła na niego ciekawie i usiadła wygodniej. Jeszcze kilka tygodni temu wierzył święcie, że ona i jej babka chcą zagarnąć majątek jego ojca. Teraz wydawało się to dla niego nieistotne. Silvey zrozumiała, że wcale nie chodziło mu o pieniądze Lawrence'a, tylko o uchronienie ojca przed kolejną porażką w sferze uczuć.

Dan nie przywiązywał większej wagi do pieniędzy. Jego

sytuacja finansowa była stabilna, podobnie jak emocjonalna, przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Jednak miał jakieś ukryte emocje, pragnienia i żądze, co niezwykle fascynowało Silvey.

Wiedziała, że chciałby mieć z nią romans, ale nigdy tego nie powie. Być może właśnie dlatego czuła do niego słabość.

Przyciągał ją jak magnes. Z całego serca pragnęła móc sprowadzić ich związek do zwykłej znajomości, ale niestety czuła, że to zadanie przerastało ją. Na tych rozmyślaniach upłynęła jej większa część drogi.

Minęli miasteczko Branaman i dojechali do podnóża gór Ochoa, gdzie skręcili w zakurzoną drogę wiodącą na najwyższy szczyt, górę Branaman. Zatrzymali się i Dan otworzył kłódkę spinającą bramę, po czym ruszyli dalej, pozostawiając otwarte wrota.

- Nie powinniśmy ich zamknąć? - spytała, spoglądając w lusterko.

Dan pokręcił głową.

- Pracownik z Biura Zarządu Ziemi powiedział, że mamy zostawić ją otwartą, ponieważ sam zamierza tu przyjechać. Mam jego jedyny klucz. Mało kto się tu kręci, a widok furgonetki odstrasza nieproszonych gości - wyjaśnił, prowadząc auto krętą drogą.

Silvey usiłowała zachować równowagę, kiedy samochód z napędem na cztery koła podskakiwał na wybojach. Raptem tylne koła zarzuciły na żużlu i złapała Dana za rękę.

Jęknął, zmagając się z kierownicą.

- Silvey, jeżeli mnie nie puścisz, nie będę w stanie prowadzić.

- Przepraszam - wykrztusiła. Złapała się za krawędź siedzenia i przygotowując się na kolejne szarpnięcia, zacisnęła mocniej pasy. Dan zwolnił i przytulił ją do siebie.

Uśmiechnęła się niepewnie, mając żywo w pamięci wrażenia

tych chwil, kiedy z nią tańczył, całował ją i zapomniawszy o nakazanym sobie zachowaniu obojętności, cieszyła się jego opiekuńczym gestem.

Po kilku minutach jazdy zatrzymali się na karczowisku obok sosnowego lasu. Dan wyłączył silnik i spojrzał na nią.

- Wszystko w porządku?

- Tak. - Wsunęła się z jego uścisku z uśmiechem zażenowania. - Po prostu nie spodziewałam się, że będzie tak trzęsło.

- Jasne. Odkąd armia opuściła ten teren, nikt nie konserwuje drogi. Ale przebyliśmy ją szczęśliwie i wyjedziemy stąd na długo przed zmrokiem. - Popatrzył na nią, jakby chciał upewnić się, że wszystko jest w porządku. - Chodźmy.

Sięgnął do jej drzwiczek i otworzył je. Rozprostowali kości i rozejrzeli się wokół. Potem Dan ruszył między drzewa.

Silvey doznała nagle uczucia podobnego do tego, jakie czasami się miewa, wchodząc do kościoła. Popatrzyła kątem oka na Dana. Miał podobny wyraz twarzy, tyle że we wzroku płonęło mu jeszcze podniecenie.

Na skraju naturalnej polanki zatrzymał się i wyciągnął rękę.

- To tam.

Wyteżyła wzrok, potem popatrzyła na niego z rozczarowaniem.

- To wszystko? Kurz i skały?

Spojrzał na nią z rozbawieniem.

- A czego się spodziewałaś, marmurowych nagrobków?

- No nie, ale... - Sama nie wiedziała, czego oczekiwać, ale ta jałowa nicość? - Skąd wiesz, że tu w ogóle coś było?

Dan bez słowa ruszył naprzód. Dogoniła go.

- Ze skorup - powiedział, pokazując na ziemię. - Tam, gdzie jest ich najwięcej, można spodziewać się cmentarza. - Wyciągnął rękę. - Najwięcej znajduje się na następnej polance. Zaraz tam dojdziemy. W latach pięćdziesiątych, zanim armia zajęła te tereny, otwarto jeden grób.

- Wtedy jeszcze nie wydano zakazu otwierania grobów Indian północnoamerykańskich - dodała z goryczą. - I co znaleziono?

- Ceramikę z zapasami na podróż do wieczności. W jednym z naczyń zachowało się nawet trochę kukurydzy. - W głosie Dana narastało podekscytowanie. Twarz mu płonęła.

Silvey uśmiechnęła się. Podobał się jej właśnie taki - otwarty, bez zahamowań i pełen entuzjazmu.

- Powiedz mi coś więcej - poprosiła.

Wziął ją za rękę i poprowadził wokół cmentarzyska, opisując, w jaki sposób archeolodzy tworzą ruszt pokrywający teren wykopalisk i przed przystąpieniem do prac numerują poszczególne prostokąty, jak czyszczą wszystko pędzelkami, by mieć pewność, że niczego nie przeoczyli. Każdy przedmiot był następnie opisywany, klasyfikowany i starannie przechowywany. Później udostępniano je szerokiej publiczności w muzeum.

- Groby są szczególnie cennym źródłem informacji - opowiadał. - Oprócz znajdowanej w nich ceramiki i biżuterii możemy dużo dowiedzieć się o stanie zdrowia spoczywających tam ludzi. Wiemy, na co chorowali, jakie mieli niedobory żywnościowe, znamy rodzaj odniesionych ran. To wszystko powiększa naszą wiedzę o plemieniu.

Zmarszczyła czoło.

- Ale przecież ty jesteś antropologiem.

Opuścił głowę.

- Czymże jest archeologia, jeśli nie nauką o człowieku? Z tą różnicą, że żył on dawno temu.

- Tylko że to jest miejsce ich kultu. Czy podobałoby ci się, gdyby ktoś chciał wykopywać twoich przodków z grobów?

Błysk podniecenia w jego oczach zastąpił wyraz rezygnacji.

- Oczywiście, że nie. Jednak musisz przyznać, że ci tu nie

mają żadnych bliskich krewnych, którzy mogliby wnieść protest.

- To niczego nie usprawiedliwia, Dan. Czy nie ma innego sposobu, prócz wykopalisk?

- Oczywiście, że jest. Trzeba użyć specjalnego sprzętu. To najnowsza technologia, która pozwala na znalezienie pod ziemią wyrobów dzieł ludzi. Wiemy wtedy dokładnie, gdzie należy kopać.

- Czemu więc tego nie stosujecie?

- Bo tak małej uczelni jak Sonora po prostu na to nie stać.

- Och, no tak. - Omal nie zasugerowała mu, żeby kupił ten sprzęt na koszt własny. Wiedziała jednak, że tego nie mógł zrobić, bo wyglądałoby to na kupowanie sobie kierownictwa wydziału archeologii.

- Chodź - pokazał na górę - pokażę ci wioskę.





## ROZDZIAŁ ÓSMY

Silvey podążała za nim. Dan najwyraźniej nie wiedział, co może jej jeszcze wyjaśnić. Weszli głębiej między sosny. Cień dawał miłą chwilę wytchnienia od południowego żaru.

Dan zatrzymał się na skraju następnej polany.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział, pokazując na wolną od drzew przestrzeń. Wypełniały ją spore fragmenty skał i jeszcze czegoś, co przypominało resztki cegieł i gliny.

Podeszła, żeby się im przyjrzeć z bliska. Podniecenie ogarnęło ją, kiedy zaczęła sobie wyobrażać, jak wyglądało kiedyś życie w takiej wiosce. Dzieci bawiły się na dworze, kobiety gotowały lub uprawiały kukurydzę. Mężczyźni polowali lub łowili ryby, by wieczorem nakarmić rodzinę swoją zdobyczą.

- Zgodnie z moją teorią używali skał jako budulca, łącząc je z suszoną na słońcu cegłą.

- Czy nie byli raczej rolnikami? - spytała cicho Silvey. Wciąż patrzyła na otoczenie rozmarzonym wzrokiem. - Mój pradziadek słyszał o tym od swego wujka ze strony dziadka, ale nawet oni nie bardzo pamiętali, jak to było z ich przodkami - dodała z żalem.

Żałowała, że nie słuchała uważniej tych opowieści, bo mogłaby mieć teraz sporo informacji, którymi zaimponowałaby Danowi. Chociaż tak bardzo wciągnęła się w ochronę dziedzictwa Indian Moreno, jej własnego dziedzictwa, sama niewiele o nich wiedziała.

- Tak. Byli rolnikami. Nawadniali pola, kopiając kanały dla deszczówki. - Dan rozglądał się dookoła.

Silvey wręcz czuła jego podniecenie. Aż się palił, żeby zacząć wykopaliska.

- A czemu stąd odeszli?

- Z wielu różnych przyczyn - wzruszył ramionami Dan.

- Susze, epidemie ludzi i roślin. Pamiętaj, że Hiszpanie przywlekli ze sobą choroby, na które te ludy nie były odporne.

Indianie malowali sobie twarze sokiem z jagód, żeby odstraszyć złe duchy. Dlatego Hiszpanie nazwali ich Moreno.

- Szkoda, że sok z jagód nie pomógł na Hiszpanów - mruknęła Silvey.

- Prawdopodobnie i tak, jako mała społeczność, byli skazani na zagładę - nachmurzył się Dan. - Przyczyną mogła być równie dobrze wojna z inną wioską lub plemieniem. Pozostali wzięli dobytek i poszli na lepsze tereny. Legenda głosi, że wioska upadła z powodu chciwości i zachłanności myśliwych pustoszących nadmiernie tereny łowieckie,

Silvey przysiadła na pniu powalonej piorunem sosny. Rozszcepione do wysokości trzech metrów drzewo wyginało się jedną częścią ku ziemi, tworząc na końcu wygodne siedzisko.

- Wierzysz w legendy?

Dan wyjął z kieszeni chusteczkę i zaczął przecierać okulary. Odślonięte oczy miały poważny, myślący wyraz.

- Może. Chciałbym znaleźć jakiś dowód na ich potwierdzenie.

- I sądzisz, że uda ci się to odkopać?

- Tak - odparł cierpliwie.

- Tu na pewno znajdzie się mnóstwo ciekawych rzeczy, prawda? - uśmiechnęła się. - Urny, naczynia kuchenne, strzały i groty. Pełno różności. Być może niektóre z nich należały do moich przodków.

- To niewykluczone - zgodził się Dan, spoglądając na nią uważnie.

Silvey podciągnęła nogi i objęła kolana rękoma. Popatrzyła w przestrzeń niewidzącym wzrokiem.

- Tak sobie myślę, że pod moimi stopami mogą spoczywać szczątki którejs z moich prababek.

- To również możliwe. - Rozejrzał się wkoło i westchnął.

- Nie zamierzam dewastować tego cmentarzyska.

- Dewastować?

- Silvey, są ludzie, którzy ściągną tu koparki i przeorzą cały teren, niwecząc szansę na planowe wykopaliska.

- Kto mógłby to zrobić?

Dan pokiwał z politowaniem głową nad jej naiwnością.

- Nazywają ich złodziejami garnków. Za najmniejszy drobiazg w dobrym stanie kolekcjonerzy są gotowi zapłacić im do dwudziestu tysięcy dolarów.

- Żartujesz. - Otworzyła usta ze zdziwienia.

- Mówię całkiem serio - rzekł z rosnącą niecierpliwością w głosie. - Ponieważ Indianie Moreno byli małym plemieniem, wszystko, co jest z nimi związane, jest podwójnie cenne z powodu swej unikalności. Dla takich pieniędzy wielu ludzi jest gotowych zaryzykować. Po tym, jak wojsko się stąd wyniosło, nie trzeba będzie długo czekać, aż ktoś spróbuje się tu wdrzeć i to zapewne z dobrym skutkiem.

- To byłaby tragedia. Historia tych ludzi przepadłaby wtedy na zawsze.

- Właśnie to usiłuję ci wyjaśnić.

Spojrziała na niego z dezaprobatą.

- Również uważałeś, że powinnam zobaczyć wszystko na własne oczy i tak się stało. Inni ludzie też będą chcieli to zobaczyć, ale jeśli wpuści się tu turystów bez nadzoru, wszystko wkrótce ulegnie zniszczeniu.

- A zarazem historia tego ludu. - Przyjrzał się jej badawczo.  
- Nie wydaje mi się, żebyś była szczególnie przeciwna prowadzeniu wykopalisk na terenie wioski.

- Bo to coś zupełnie innego niż cmentarzysko. - Wzruszyła ramionami. - Poza tym wiesz, że moje zastrzeżenia, czy obiekcje „Wojowników Leili” nie na wiele się zdadzą.

- Raczej nie. - Patrzył na nią poważnym wzrokiem.  
Skinęła głową.

- Wydaje mi się, że chyba masz rację. Ludzie powinni poznać prawdę o Indianach Moreno.

- Dostyc szybko zmieniałaś zdanie. - Spoglądał na nią z powątpiewaniem.

- Bo być tu i oglądać to wszystko... to całkiem co innego. Byłoby wspaniale, gdyby cały ten teren dało się zachować w niezmienionej postaci, ale zdaje się, że to niemożliwe.

Dan uśmiechnął się współczująco.

- Niestety, niemożliwe.

- Więc lepiej, żeby wykopaliskami zajęli się odpowiedzialni ludzie.

- Czy to znaczy, że cię przekonałem?

- Tak mi się zdaje.

Podskoczył tak gwałtownie, że Silvey pisnęła z przerażenia, a z pobliskich drzew zerwały się ptaki. Ściągnął ją z pnia i mocno chwycił w ramiona.

- Dan - szepnęła - co robisz?

- Świętuję - odparł. - Bo wreszcie cię złapałem. No i nareszcie cię przekonałem!

Silvey zaniósła się śmiechem. Okręcił ją kilka razy i przytulił do siebie. Cieszyła ją odmiana, jaka w nim zaszła.

Kiedy dał jej szybkiego buziaka, w oczach miał ciepło i czułość. Odsunął ją na odległość wyciągniętej ręki.

- Umieram z głodu - powiedział. - Przyniosę jedzenie z sa-

mochodu. Będziemy mogli zjeść pod tymi drzewami, z daleka od cmentarzyska. Nie zakłócimy niczyjego spokoju.

Odwrócił się i pobiegł.

Silvey oparła się o pień sosny. Słowa Dana zaczęły powoli do niej docierać.

To prawda, złapał ją. Dan Wisdom złapał ją na haczyk miłości. Odprowadzała wzrokiem jego postać znikającą wśród drzew.

Kochała go i wszystko, co się z nim wiązało: ponure i radosne nastroje, błyskotliwy umysł i niezłomną uczciwość.

Kochała go, choć wiedziała, że on jej nigdy nie pokocha. Dla niego miłość była równoznaczna z władzą kobiety nad mężczyzną. Owszem, interesowała go, ale być może miał na myśli jedynie pociąg fizyczny. Tak czy inaczej, nie pokocha jej. Poprzysiągł nie dać żadnej kobiecie władzy nad sobą.

Zawiedziona i smutna oparła się o drzewo. Ręce zwisały jej po bokach. I co ma teraz zrobić? Przez całe swoje dotychczasowe życie marzyła, aby pokochać kogoś, tak jak Leila kochała swego męża, jak kochali się jej rodzice. Nie spodziewała się, że straci głowę dla człowieka, który nie odwzajemni jej uczuć, bo nie chce się angażować w żaden trwały związek.

Minęło kilka minut, zanim się pozbierała, ale udało się jej odzyskać pewność siebie. Dan nie może dowiedzieć się, co ona czuje. Albo wzgardzi jej miłością, albo po krótkim romansie odwróci się od niej. Oba wyjścia są dla niej nie do przyjęcia, więc powinna zachować godne milczenie. Przetarła twarz dłońmi, by zetrzeć z niej wyraz smutku. Zanim wrócił Dan, uśmiechała się już wesoło.

Urządzili sobie piknik pod drzewami, na ściółce z miękkiego igliwia, po której od dziesięcioleci nikt nie chodził. Silvey wypakowała kanapki i pokrojone warzywa. Dan otworzył puszkę z wodą sodową i podał jej jedną. Usiadł, opierając się o najbliż-

sze drzewo. Ciszę przerywał jedynie świergot ptaków i piski wiewiórek. Silvey zdawało się, że słyszy odgłos silnika samochodu, ale dźwięk nagle ucichł.

Jadła powoli, pogrążona w myślach usiłowała dojść ze sobą do ładu. Od czasu do czasu zerkała na Dana, który niczego nie podejrzewając, oparł się wygodnie i metodycznie pochłaniał kanapkę za kanapką. Kiedy skończył jeść, przyciągnął jedną nogę i objął się za kolano.

Lubiła, kiedy był odprężony, bez śladu normalnej czujności. Czemu nie zakochała się w człowieku, który byłby łatwiejszy do zrozumienia i nieco bliższy?

- Czy usmarowałem się musztardą? - spytał, widząc, jak się w niego wpatruje.

- Co? Ależ nie. - Zmieszana tym, że ją przyłapał na gapieniu się, szybko pozbierała resztki jedzenia i zapakowała wszystko do kosza. - Odniosę to do samochodu - mruknęła.

Zbiegła niżej, do furgonetki, włożyła kosz na skrzynię i poszła z powrotem do miejsca, w którym zostawiła leniuchującego Dana. Przez cały czas powtarzała sobie, że musi zachować ostrożność. W przeciwnym razie zdradzi swoje prawdziwe uczucia.

Wróciła do wioski i zaczęła okrążyć polanę, brodząc w gęstym poszyciu z igliwia. Usłyszała trzask łamanej gałązki. Obejrzała się, myśląc, że to jelen, ale nic nie zauważyła. Wróciła pod rozdartą sosnę.

- Co było takiego niezwykłego w kulturze Indian Moreno, co odróżnia ich od innych miejscowych plemion? - spytała.

- Umieli obrabiać metal. Rozwinęli technologię odlewania małych kawałków miedzi i chcieli zatrzymać tę tajemnicę dla siebie. Wyrabiali biżuterię i wymieniali ją z innymi plemionami aż po wybrzeże Baja w Kalifornii. - Wstał i dołączył do niej.

- Pomyśl tylko - oparła się o pień - że cały istniejący sy-

stem społeczny, handel, rzemiosło i wierzenia zostały zniszczone przez przybyszów z Europy.

- Właśnie. - Dan przyjrzał się jej uważnie, potem rozejrzał wokół.

Silvey w zamyśleniu postawiła najpierw jedną nogę na zwieszającym się nisko krańcu pnia, potem drugą... To, co powiedział jej Dan, było przerażające. Kwitła tu niegdyś wspaniała kultura materialna i zbrodnią byłoby pozostawiać ją na łup złodziei. Gdyby tylko nie trzeba było naruszać grobów... Westchnęła, idąc lekko wzdłuż pnia.

- Ostrożnie. Możesz spaść.

Popatrzyła na dół z rozbawieniem.

- Dan, czy już zapomniałeś, że w ten sposób zarabiałam na życie?

Odwróciła się i wygięła w tył, aż rękoma złapała szorstki pień. Bez wysiłku zrobiła salto, stawiając stopy tuż obok dłoni. Gdyby pień był nieco gładszy, zakończyłaby występ szpagatem. Wyprostowała się i stojąc na wąskim pniu, podniosła ręce i skłoniła się swojej jednoosobowej publiczności.

Pokręcił głową i zaczął bić brawo.

Silvey pobiegła wzdłuż pnia. Dan wyciągnął ku niej rękę. Skoczyła, zatrzymując się tuż obok niego. Jakiś kamyczek wpadł jej do buta. Z lekkim westchnieniem schyliła się, by go wyciągnąć. Kamyk był ciemnozielony. Kiedy brała zamach, by go wyrzucić, usłyszała głuchy, metaliczny brzęk.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Dan, spójrz! Wygląda jak mały dzwoneczek. Z metalowym serduszkim i w ogóle...

- Pozwól. - Dan z sykiem wypuścił powietrze z płuc i nadstawił dłoń. Silvey położyła mu na dłoni dzwonek.

Oglądał go ze wszystkich stron, podczas gdy Silvey dreptała wokół niego z niecierpliwością.

- No i co? I co! - dopytywała się, przeszkadzając mu, napierając na niego, zasłaniając mu światło.

Kiedy spojrział na nią, oczy błyszczały mu z podniecenia.

- To jest to, Silvey. Miedziany dzwoneczek. Rany, ale znalazisko!

- Naprawdę? - Opadła na kolana i zaczęła gorączkowo grzebać, w igliwiu i liściach. - Może tu jest coś więcej.

- Jeśli nawet, to nie powinniśmy...

- Zaczekaj! - Z radosnym piskiem Silvey oczyszczała z ziemi jakiś przedmiot, potem wyciągnęła kolejny dzwoneczek połączony w sznurek razem z innymi. - Zobacz, Dan, to naszyjnik.

Dan przykucnął obok i wziął od niej naszyjnik. Przyglądał się mu w niemym podziwie.

- Trzęsą ci się ręce - roześmiała się.

Przełknął ślinę, zamknął na chwilę oczy, potem otworzył je i spojrział na Silvey.

- To, co znalazłaś, jest do tej pory jednym z najcenniejszych eksponatów. Rzuca nowe światło na mieszkańców tych terenów, nadając im osobowość i głębię. Popatrz tylko. - Podsunął jej naszyjnik przed oczy. - Widzisz, jaki kształt mają dzwoneczki?

Przyjrzała się im uważnie. Różniły się kształtem od tych, do jakich przywykła.

- Indianie Moreno rozmaitym ceremoniom przypisywali odpowiednie kształty.

- O? - Oczy Silvey błyszczały. - A te, z czym się wiązały?

- To ślubny naszyjnik panny młodej, przekazywany z matki na córkę.

Silvey zbladła.

- Żartujesz.

- Wcale nie. Widziałem tylko jeden taki. W muzeum w Nowym Meksyku.



- Dan - szepnęła uroczyście, biorąc naszyjnik do ręki.
- Któraś z moich prababek mogła go nosić.
- To możliwe.

Drżącymi palcami przyłożyła sznurek dzwoneczków do szyi. Spojrzała w dół. Pokryte brudem, zaśniedziałe dzwonki leżały na żółtej bluzce. Jednak Silvey nie widziała brudu. Jawiły się jej jako lśniące czerwonozłotym odcieniem. Wyobraziła sobie kolejne pokolenia kobiet z plemienia Moreno noszące ten naszyjnik. Wyobraźnią sięgała coraz głębiej w przeszłość.

Pomimo iż była współczesną kobietą, a krew Indian Moreno przez pokolenia uległa wymieszaniu z krwią innych plemion, czuła żywy związek z kobietami z przeszłości.

Usta jej drżały, a oczy miała pełne łez, kiedy podniosła głowę, by spojrzeć na Dana.

- Nie wiedziałam - rzekła łamiącym się głosem. - Słowo daję, że nie wiedziałam.

Dan odsunął jej włosy za ucho. Delikatnie popieścił jej policzek.

- O czym nie wiedziałaś? - spytał cicho.
- Jakie to uczucie znaleźć coś takiego.
- To szokujące, prawda?
- Tak. - Położyła dłoń na mocno bijącym sercu. Roześmiała się z zażenowaniem i zamrugła gwałtownie, chcąc powstrzymać łzy. Wzięła głęboki oddech. - Jest wspaniały.
- Jest bezcenny.

Niezręcznie otarła naszyjnik z brudu i zaczęła wkładać do kieszeni szortów.

Złapał ją za nadgarstek i uśmiechnął się z wyrozumiałością.

- Nie możesz tego zrobić, Silvey. To nie są oficjalne wykopaliska. Możemy tu przebywać, ale nie mamy prawa niczego szukać.

Jęknęła z niedowierzaniem. Szerzej otworzyła brązowe oczy.

- A jeśli ktoś będzie przechodził i...? - Zawiesiła głos z przerażenia.

- Nareszcie doznałaś olśnienia - uśmiechnął się Dan. - To właśnie usiłuję ci wytłumaczyć. Złodzieje urn nie mają prawa tego robić, ale się tym nie przejmują.

Silvey wyprostowała się i wydeła wargi.

- Zobaczmy - odparła i weszła na pień drzewa. Lekko podbiegła do miejsca złamania. Dan obserwował, jak chowa naszyjnik w niewidoczne z ziemi małe zagłębienie w miejscu rozszczępienia. - Gotowe. Nikt go teraz nie znajdzie.

Kiedy wracała, Dan obserwował ją z podziwem. Zanim doszła do końca, pochwyił ją w pasie i postawił na ziemi.

- Jesteś za sprytna. Nie wiem, czy dam radę wejść tam i go wyjąć - powiedział, pokazując na pień.

Odrzuciła głowę do tyłu. Złotobrzowe włosy opadły na trzymające ją dłonie Dana. Popatrzyła na niego zza gęstych rzęs.

- Więc będziesz musiał mnie tu znowu przywieźć. Podniecenie przeszło ją na wskroś, kiedy dostrzegła nagły płomień w jego oczach. Jego złagodniałe rysy znów zaostrzyły się, kiedy patrzył na nią.

- Chyba będę musiał coś zrobić z tą twoją skłonnością do flirtu.

Serce zatrzepotało jej jak dziki ptak złapany w sieć.

- O? Cóż takiego?

- Może będę musiał się przekonać, że flirtujesz tylko ze mną.

Uśmiechając się zalotnie, położyła mu dłonie na ramionach.

- To się chyba da załatwić, ale najpierw musisz mnie złapać. Raptownie przykucnęła i wyswobodziwszy się z jego objęć, rzuciła się do ucieczki. Chociaż Dan miał dłuższe nogi, a ona była mniejsza, miała przewagę szybkości i atut zaskoczenia.

Nie zawołał, żeby się zatrzymała lub wróciła, lecz od razu usłyszała za sobą tupot jego butów. Nie śmiała spojrzeć

wstecz, by sprawdzić, czy jest blisko niej. Gnała co sił w nogach skrajem terenu cmentarzyska w stronę furgonetki. Miała zamiar wskoczyć do auta, zablokować drzwi i trochę się z nim podroczyć. Kilka kamieni zachybotало się pod jej stopami, wytrącając ją z równowagi, ale utrzymała się na nogach i pędziła dalej.

Jej szalony bieg stał się jeszcze bardziej podniecający dzięki podmuchom wiatru, które szumiały w igłach sosen i wstrząsały liśćmi osik. Mknęła pod wiatr, czując, jak rozwiewa jej włosy i wciska się pod ubranie. Zerknęła wreszcie za siebie i zobaczyła, że Dan znajdował się o kilka metrów w tyle. Biegł równie szybko jak ona, ciężko pracując nogami i machając rękoma. Twarz miał zaciętą. Ze śmiechem przyspieszyła. W wesołym nastroju wydłużyła maksymalnie krok, lecz słyszała, że Dan zaczyna ją doganiać.

Wypadła pomiędzy drzew i zobaczyła samochód. Pobieгла dalej, przekonana, że jej się uda. Kiedy od auta dzieliły ją zaledwie centymetry, poczuła, że coś musnęło jej ramię, więc odwróciła się, by to coś strzepnąć.

- Mam cię! - Dan otoczył ją ramionami i przycisnął do drzwiczek.

Dyszząc, odrzuciła głowę w tył. Oczy miała roześmiane. Bystrym spojrzeniem obrzucił jej zaróżowioną od wysiłku twarz i skupił uwagę na wpółotwartych ustach. Silvey zamknęła oczy. Wiedziała, że Dan chce ją pocałować i nagle z całą mocą powróciło wspomnienie poprzedniego pocałunku.

Delikatnie dotknął jej warg. Oboje wciąż byli jeszcze zdyszani po biegu. Gorący oddech Dana mieszał się z jej własnym.

- Od chwili kiedy cię ujrzałem, wiedziałem, że zwiedzisz mnie na manowce.

- Cieszę się, że nie zawiodłam twoich oczekiwań.

Dan ostrożnie odsunął jej włosy z czoła. Silvey znierucho-

miała pod jego dotknięciem. Zaniepokoiło ją zmieszanie w jego wzroku.

- Być może moje oczekiwania w stosunku do ciebie były zbyt wygórowane.

Dotknęła jego policzka.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Zdziwiła się, gdy odwrócił głowę i pocałował ją w opuszki palców.

- Mniejsza z tym. Lepiej wsiadajmy do samochodu i... - Cofnął się i spojrzał w dół. Nasrożył się.

Silvey, rozczarowana tym, że nie dokończył myśli, westchnęła i popatrzyła na dół.

- Co u diabła... - mruknął.

Przyjrzała się uważniej i stwierdziła, że samochód stoi pod dziwnym kątem. Opony po prawej stronie były zupełnie miękkie.

Krótkie dosadne przekleństwo zabrzmiało w powietrzu, kiedy Dan przykucnąwszy, badał koła.

- Nie ma żadnego śladu, ale coś stało się z dwiema oponami.

Musiałem najechać na kawałek metalu czy coś w tym rodzaju.

- Wstał i popatrzył na furgonetkę z kwaśną miną. - Nie zauważyłem niczego, kiedy przyszedłem po koszyk z jedzeniem.

Odwrócił się i przyjrzał się podejrzliwie Silvey. Minęła cała minuta, zanim zdała sobie sprawę, co ma na myśli. Wyprostowała się, miotając z oczu skry.

- Furgonetka była w doskonałym stanie, kiedy odniosłem koszyk. Z oponami nie działo się nic złego.

Wiatr rzucił jej włosy w twarz, kneblując usta. Odgarnęła je, chowając za prawe ucho. Spojrzała na niego wyzywająco.

Dan obserwował przez chwilę wysunięty podbródek i zaciśnięte usta Silvey.

- Nie masz się co tak unosić. Wierzę ci.

Zamrugła i skinęła głową.

- Doskonale. Świetnie. Bardzo dobrze. Co teraz zrobimy?  
Skinieniem głowy wskazał kierunek.

- Pójdziemy piechotą do Branaman i ściągniemy wóz pomocy drogowej, pod warunkiem, że w sennej pustynnej mieścinie znajdziemy jakiś czynny warsztat w sobotnie popołudnie.

Silvey niechętnie spojrzała na swoje pionierki. Było jej w nich gorąco i niewygodnie.

- Mamy iść pieszo? Jak daleko?

- Około dziewięciu kilometrów. - Zerknął na jej buty. -  
Przykro mi, ale obawiam się, że nie mamy innego wyjścia.

- Podniósł głowę i popatrzył na niebo. - Jednak chyba będziemy musieli się z tym wstrzymać.

Podążyła za jego wzrokiem ciekawa, co dojrzał na niebie nad pustynią. Od nagich szczytów górskich nadciągała brązowa ściana.

- O, nie! - Opuściła ręce. - Burza piaskowa.

Dan zerknął na zniżające się słońce.

- Tak. I zmierza w naszą stronę. Będziemy musieli zaczekać w furgonetce, aż nad nami przeleci.

- Doskonały pomysł - zgodziła się, otwierając drzwiczki.

- Lepiej nie jeździć w taką pogodę.

Wsiadli do kabiny i sięgnęli po przygotowane przez Silvey napoje. Gasili pragnienie, pijąc z jednego kubka. Potem czekali na burzę.

Silvey odwróciła się i popatrzyła na Dana. Jedną rękę położył na oparciu, drugą wsparł na framudze okna. Prawą nogę zgiął w kolanie, obejmując dźwignię zmiany biegów.

- Czy przypadkiem nie masz talii kart? - spytała, przyglądając się licznym kieszeniom spodni. - Moglibyśmy zagrać w pokera.

- Grasz? - Uniósł brew ze zdumienia.

- Jeszcze pytasz? A co innego można było robić, kiedy się utknęło w zabitym deskami miasteczku w Georgii, skończyło się ostatnie przedstawienie, a sklepy zostały pozamykane aż do rana?

Odchylił głowę w tył i roześmiał się serdecznie. Potem popatrzył na nią ze znaczącym błyskiem w oku.

- Jak wiesz, mamy nie dokończoną sprawę, która pozwoli nam zabić czas.

- O?

Pochylił się w przód, obserwując jej twarz.

- Tak. Złapałem cię, jesteśmy sami i teraz odrobimy lekcję z flirtowania.

Swobodna atmosfera panująca w kabinie furgonetki nagle się zagęściła. Silvey zobaczyła wyraz jego oczu i palnęła, co jej ślina na język przyniosła.

- Czy masz coś do zjedzenia?

- Chcesz jeść? Przed chwilą skończyłaś.

- Cóż, ty zjadłeś większość kanapek.

Cofnął się, robiąc przy tym minę niedwuznacznie dającą do zrozumienia, że wie doskonale, o co jej chodzi.

- Tak. Mam trochę suszonej wołowiny.

Spod siedzenia wyciągnął płócienną torbę. Wewnątrz znajdował się scyzoryk i kilka kawałków suszonego mięsa. Wręczył jej to.

Silvey niechętnie przyjęła poczęstunek. Nie chciała okazać się niewdzięcznicą, ale nie przepadała za suszoną wołowiną. Jej zdaniem smakowała jak stara, wyschnięta kiełbasa zrobiona z różnych gatunków mięsa.

- Sama chciałaś - skomentował jej czytelny gest.

- Dziękuję uprzejmie.

- Ukrój sobie tyle, ile zechcesz.

Zerknęła na niego podejrzliwie, słysząc nutkę rozbawienia

w jego głosie. Zadarła dumnie głowę i wzięwszy kawałek mięsa, otworzyła scyzoryk. Zauważyła, że ostrze jest zabrudzone.

- Do czego ostatnio używałaś tego noża?

- Do sekcji.

Popatrzyła na niego ze zgrozą.

- O rany!

Wyjął jej scyzoryk z ręki i zmoczywszy chustką wodą z butelki, przetrął ostrze, potem odkroił kawałek mięsa i podał Silvey.

- Spróbuj. Powinno ci smakować.

Niechętnie wzięła go do ust, potem spojrzała na Dana ze zdumieniem.

- To jest dobre.

- Kiedy mi wreszcie zaufasz? - mruknął, obserwując zadowolone malujące się na jej twarzy. - Sam je przyrządziłem.

Suszyłem na grillu razem z przyprawami i korzeniami.

- Oho, mężczyzna z twórczym umysłem i talentem kulinarnym. - Oparła się plecami o drzwiczki i z przyjemnością żuła mięso. - Czegóż więcej potrzeba kobiecie do szczęścia?

Dan roześmiał się i ukroił kawałek dla siebie. Potem obejrzał się w kierunku nadciągającej burzy.

- Jeśli nie chcesz mieć pełno kurzu w ustach, lepiej jedz szybciej.

Zdażyła jeszcze przepłukać usta kolejnym łykiem wody, gdy podmuch wiatru z pyłem uderzył w furgonetkę. Jedną ręką zła-pała za karoserię, drugą za fotel.

- Myślisz, że jesteśmy tu bezpieczni? - próbowała przekrzyć ryk wichury i dźwięk bijącego w auto pyłu. Po chwili kabina wypełniła się chmurą kurzu.

- Nie mamy wyboru - odparł Dan. - Nie możemy teraz stąd wyjść. - Uniósł biodra i z tylnej kieszeni wyciągnął dużą chustę. Podał ją Silvey. - Osłoń nią nos.

- Ale ty nic nie masz.

Uniósł ręce w górę.

- Chciałbym, żebyś przynajmniej raz zrobiła coś bez kłótni. Przesuń się bliżej. - Dźwignął ją lekko i obróciwszy tyłem do siebie, otoczył ją ramionami tak, że siedziała przytulona do niego plecami. Położył brodę na jej ramieniu, rozpostarł chustę i osłonił nią twarz obojga.

- Trzymaj to przy nosie - szepnął jej do ucha.

Zbyt oszołomiona, by zaprotestować, posłusznie chwyciła rąbek biało-niebieskiej tkaniny i zakryła nos. Od razu zaczęła lżej oddychać, jeśli nie brać pod uwagę faktu, że Dan mocno przytulał ją do siebie. Zadrzała.

- Wszystko będzie dobrze, Silvey - szepnął jej do ucha, silniej obejmując ją w pasie. - Nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego.

Uwierzyła mu i zamknęła oczy, by pohamować cisnące się do oczu łzy. Kochała go. Zapewne stało się to już pierwszej nocy, kiedy pojawił się znikąd, by bronić jej przed wymagowanymi strachami.

Próbowała potajemnie wytrzeć łzy chustą, ale byli zbyt blisko siebie, by Dan tego nie zauważył. Kiedy wiatr ich ogłuszał, piasek zasypywał, a kurz dławił, Dan pocałował ją w nasadę szyi. Z powodu pozycji, w jakiej siedzieli, nie mógł posunąć się dalej, ale Silvey i tak odebrała to jako dar losu. Rozluźniła mięśnie i próbując odpędzić od siebie wszystkie obawy i wątpliwości, zaczęła przyzwyczajając się do poczucia bezpieczeństwa, jakie dawały jej ramiona Dana.

Burza trwała około pół godziny. Silvey była przekonana, że piach zdarł z biednej furgonetki lakier do gołej blachy. Pomimo osłony z chustki miała pełno pyłu w oczach, nosie i gardle. W końcu wiatr zaczął przycichać, aż zmienił się w delikatny zefirek. Dan posadził ją z powrotem na jej siedzeniu.



Odwróciła się twarzą do niego. Oboje równocześnie wybuchnęli śmiechem.

- Wglądasz jak Okropny Człowiek Kurzu - chichotała.
- Ty nie prezentujesz się wcale lepiej.

Oboje byli pokryci grubą warstwą piasku. Osiedł im we włosach, na ubraniu, skórze, powiekach i rzęsach. Jedyne czyste miejsca znajdowały się wokół ust i nosów. Rażno wyskoczyli z samochodu, by się otrzepać.

Silvey usiłowała doprowadzić włosy do porządku, ale szybko zrezygnowała.

- Możemy już iść - powiedziała, chowając szczotkę do torby.

Dan spojrzął na jej buty.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?
- Przecież mnie tu nie zostawisz!
- Dobrze. Skoro sama o to prosisz. - Wziął ją za rękę i ruszyli w dół wyboistą drogą.

Zanim dotarli do szutrowej szosy prowadzącej do Branaman, pot zmienił pokrywający ich pył w maź. Wdzierał się w każdy por skóry, a oni żartowali z siebie nawzajem.

To musi być miłość, doszła do wniosku Silvey. Całe ciało swędziało, coraz trudniej szło się jej w koślawych butach, a jednak wcale nie narzekała.

Po kilku minutach zabrała ich furgonetka z wędkarzami i dowiozła do miasteczka. Wysiedli przy stacji obsługi, która na szczęście miała wóz pogotowia technicznego.

Dan wraz z właścicielem warsztatu pojechali po furgonetkę, a Silvey zamknęła się w małej toalecie i usiłowała zrobić coś z włosami i makijażem. Udało się jej jedynie wzbijć tumany kurzu i zatkać umywalkę błotem.

Obejrzała się w lustrze i skrzywiła.

- Wyglądam, jak po pierwszej rundzie zapasów w błocie. Jak Dan zakocha się bez pamięci w kimś o takim wyglądzie?

Wzruszyła ramionami i wyszła z toalety.

Niebawem wrócił Dan i mechanik zajął się ściągnięciem opon. Dan obmył się również, zanim poszli napić się czegoś do pobliskiego baru szybkiej obsługi. Po powrocie właściciel warsztatu przywitał ich zdziwioną miną.

- Nic nie rozumiem. Opony są w porządku. Brakowało jedynie powietrza.

Dan wyciągnął portfel.

- Porozmawiam z szefem uczelnianego parku samochodowego. Może te opony są wybrakowane.

Silvey nie potrafiła się tym poważniej przejąć. Pomimo szeregu niewygód dzień uważała za miły.

Zmierzchało, kiedy wsiedli wreszcie do furgonetki, kierując się w stronę Tucson. Przycupnęła na miejscu przy drzwiach, lecz Dan przyciągnął ją bliżej siebie, przytulił i uśmiechnął się. Uszczęśliwiona Silvey zapięła środkowy pas i oparła głowę na jego ramieniu. To był naprawdę miły dzień.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Do Tucson dotarli w dwie godziny później. Było już całkiem ciemno. Dan zgodnie z obietnicą kupił po drodze akumulator do samochodu Silvey. Chciała zaprotestować, kiedy wyjmował portfel, ale uciszył ją spojrzeniem. Uśmiechnęła się w duchu, przypominając sobie pierwsze spotkanie z Danem i spór o pieniądze, do których teraz wcale nie przywiązywał znaczenia. Potem pojechali pod sklep, gdzie zostawiła samochód i zamontował nowy akumulator. Kiedy już mazda była na chodzie, pojechał za nią do domu, odprowadził do drzwi frontowych, otworzył je i pozapalał światła.

Poczekala grzecznie, aż sprawdził cały dom. Mniejsza z tym, że wędrowała po kraju z cyrkową trupą i nieraz nocowała w naprawdę niebezpiecznych miejscach. Ważne, że był troskliwy i nie miała nic przeciwko temu. Prawdę mówiąc, to nawet zaczęła się do tego przyzwyczajać.

Dan wrócił i stojąc w progu, objął ją w pasie. Przytuliła się do niego. Odsunął jej z czoła zmierzwione, zakurzone włosy i spojrzał głęboko w oczy.

- Chciałbym, żebyś przemyślała wszystko, co dziś widziałas i o czym rozmawialiśmy.
- Zastanowię się nad tym.
- Silvey, wiem, że zmieniałaś zdanie w sprawie wioski, ale przemyśl jeszcze raz kwestię cmentarzyska. Nie chciałbym wojować o to z tobą - dodał poważnym tonem - ale zrobię to, jeśli

będę zmuszony. Ważne, żeby wszystko zostało naukowo zbadane i zabezpieczone przed złodziejami i wandalami.

Brązowe oczy Silvey pociemniały z niepokoju.

- Ale to nie ma nic wspólnego z twoim awansem?
- Oczywiście, że nie.

Przyglądała mu się przez chwilę. Wiedziała, że jest uczciwy aż do przesady.

- Wierzę ci - rzekła wreszcie.
- I podejmiesz decyzję, czy nadal będziesz przeciwna moim projektom?

- Przemyślę i podejmę decyzję.
- Jesteś wyjątkowo skora do zgody dzisiejszego wieczoru.

Chyba spróbuję to wykorzystać. - Pochylił się i lekko dotknął wargami jej ust.

Odwzajemniła pocałunek. Uczucia, jakie żywiła do niego, obudziły się, wzmagając jej pożądanie. Wpiła palce w koszulę Dana. Wchłaniała zapach kurzu, smakowała jego słone wargi. Pod wpływem jej dotyku Dan napiął mięśnie, jakby chciał ją odepchnąć lub przyciągnąć bliżej.

Po dłuższej chwili oderwał się od jej ust. Oboje dyszeli.

- To zaczyna wchodzić mi w nawyk, Silvey.
- Nawet jeśli tak jest, to miły nawyk.
- Nie przeczę - uśmiechnął się.
- To, co powiedziałaś, jest bardzo bliskie zaangażowania się...

Oczy mu pociemniały. Pomyślała, że stały się smutne. Zamiast odpowiedzi, odwrócił się w swój opanowany sposób.

- Lepiej odpocznij - rzucił przez ramię. - Dobranoc.

Zniknął w ciemnościach.

Silvey żałowała, że zburzyła jego pogodny nastrój. Wiedziała, że toczy wewnętrzną walkę i miała nadzieję, że oboje są po tej samej stronie. Wspólnie powinni zwyciężyć.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie, przyciskając palce do ust. Z uśmiechem rozmarzenia przeszła salonik, idąc do łazienki, aby jak najszybciej wziąć prysznic. Dźwięk telefonu zawrócił ją z drogi.

- Halo.

- Silvey, to ty? - rozległ się głos Reeda Madisona.

- Tak, Reed - uśmiechnęła się. - To ja, bo któżby inny?

- Gdzie się podziewałaś, dziewczyno? Przez cały dzień usiłowaliśmy się do ciebie dodzwonić. Nie masz pojęcia, co zrobiliśmy.

Dreszcz grozy przebiegł jej po kręgosłupie.

- Mieliście nie robić niczego bez uzgodnienia ze mną.

- Tej okazji nie można było przepuścić - odparł z dumą.

- Och, Reed, obawiam się, że nie spodoba mi się to, co mi powiesz.

- Na pewno ci się spodoba.

Odsunęła na chwilę słuchawkę i popatrzyła na nią z powątpiewaniem. Reed był w gorącej wodzie kąpany.

- No więc, co to było? - spytała z westchnieniem.

Reed odczekał chwilę, by zrobić większe wrażenie.

- Po południu pojechałem z Beltransami na górę Branaman.

Zobaczyliśmy tam stojącą furgonetkę z uczelni Sonora i spuściliśmy powietrze z kół.

- Och, Reed. Powiedz, że to żart. - Jęknęła w rozpacz.

- Ależ skąd. To ich nauczy. Zobaczą, z kim zadarli.

- Tak, Reed - syknęła ze złością. - Na pewno. Dobranoc.

Szybko odłożyła słuchawkę, bo obawiała się, że zaraz zacznie besztać starszego człowieka.

Powinna zadzwonić z przeprosinami do Dana. Doszła jednak do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zrobi to osobiście. W końcu była odpowiedzialna za grupę, nawet jeśli sama stała się ofiarą ich poczynań.

Zadzwoni do babki i powie jej, że nie chce mieć nic wspólnego z „Wojownikami Leili”. Ta grupka krzykaczy wtrąca się do wszystkiego i czasami przysparza sporo kłopotów.

W drzwiach przypomniała sobie, że wciąż jest brudna. Gotując się ze złości, wpadła do sypialni po czystą bieliznę, potem zniknęła w łazience.

Szybko wzięła prysznic, umyła głowę i rozczesła włosy. Wyschną same. Włożyła zieloną letnią sukienkę i odpowiednie sandały. Wcale się nie malując, złapała torebkę i wybiegła. Przez kilka chwil odtwarzała w pamięci adres Dana, który podpatrzyła na czeku. Potem pojechała na wschód, w stronę gór Santa Catalina.

Parę razy zmyliła drogę, lecz w końcu znalazła dom Dana na cichej ulicy ze wspianymi nowymi domami, szczelnie ogrodzonymi dla bezpieczeństwa wysokimi płotami.

Zaparkowała na podjeździe. Kiedy wysiadła z samochodu, czujnik ruchu oświetlił rzeźbiście front domu. Mrużąc oczy, podeszła bliżej i zadzwoniła. Kiedy po kilku próbach nikt się nie odezwał, przeszła kilka kroków w lewo i znalazła z boku otwartą furtkę. Zaintrygowana pluskiem wody poszła w tym kierunku i zobaczyła, że stoi w patio otoczonym tropikalnymi roślinami. Tuż przed nią rozpościerał się duży podświetlany basen. Po kilku sekundach zorientowała się, że to Dan pracowicie młóci wodę.

Zdumiewające, pomyślała, włożyliśmy się cały dzień po górach, szliśmy kilka kilometrów do drogi, a on wraca do domu i pływa. Ten facet powinien być uwieczniony na plakacie reklamującym dyscyplinę wewnętrzną.

Niezależnie od tych uwag, nie mogła napatrzeć się, jak miarowo tnie wodę silnymi wyrzutami ramion. Kiedy docierał do końca basenu, robił podwodny przewrót i zaczynał od nowa.

Doszła do wniosku, że to potrwa jeszcze trochę i rozejrzała się za krzesłem. Poczeka sobie na siedząco. Przy okazji poob-

serwuje sobie Dana. Wypatrzyła fotel plażowy w zacienionym zakątku i przycupnęła na brzeżku, nie rezygnując z widowiska.

Dan przepłynął dziesięć długości basenu, zanim stanął i wziął kilka głębokich oddechów. Potem oparł ręce na krawędzi basenu i jednym ruchem znalazł się na cementowej cembrowinie. I w tym momencie Silvey zorientowała się, że Dan, pływając w zaciszu swej posiadłości, nie włożył kąpielówek.

Dosłyszał zdumiony okrzyk, który wyrwał się jej z gardła. Szybko owinął się ręcznikiem i pobiegł w jej stronę.

W ułamku sekundy Silvey leżała na fotelu, a Dan przygryzł ją, trzymając za gardło.

- Mów, kim jesteś i co tu robisz? - warknął.
- Dan - wydusiła z trudem. - To ja, Silvey.

Wyprostował się i puścił ją.

- Silvey, co tu do cholery robisz?
- Uczę się oddychać przez uszy.
- Przepraszam najmocniej. - Pomógł jej się podnieść i usiadł obok. Masował jej plecy, aż wreszcie złapała oddech.

- Dzwono... dzwoniłam, ale nie otwierałeś, więc znalazłam boczną furtkę.

- Czemu się nie odezwałaś?
- Byłeś bardzo zajęty. - Odwróciła wzrok, czując dotyk jego rozgrzanych ud. - Nie chciałam ci przeszkadzać.

- I postanowiłaś przyprawić mnie o zawał serca, pojawiając się z nienacka, kiedy skończę pływać?

Silvey uniosła dumnie głowę.

- Wyszedłeś z wody nagi. To ja doznałam szoku.
- Wybacz, że nie wziąłem pod uwagę wścibskich sąsiadów
- uśmiechnął się.
- Wybaczam.
- To moja wina. Po tej podróży od razu powinienem zaprosić cię na basen.

Zerknęła na niego z ukosa.

- Włożyłbym kąpielówki - roześmiał się.
- Oboje byliśmy tacy brudni, że zatkalibyśmy filtr basenu.

Dan wstał i pomógł się jej podnieść.

- Chodź, opowiesz mi, z czym przyszłaś. - Nagle w jego wzroku błysnął niepokój. - Czy coś z ojcem, a może z Leilą?
- Nie - uspokoiła go szybko. - Nic z tych rzeczy, ale muszę ci o czymś powiedzieć.

Dwuskrzydłowymi drzwiami wprowadził ją do dużego pokoju. Na środku leżał wiśniowy dywan i stały dwie obite kremową skórą kanapy. Przy ścianach stały półki wypełnione książkami. Pokój otwierał się na jadalnię połączoną z częścią kuchenną. Blaty szafek wykonane były z meksykańskich kafli, a nowoczesne wyposażenie kuchni przyprawiłoby o zawrót głowy każdą panią domu.

Dan zniknął w korytarzu i Silvey zaczęła oglądać książki. Część z nich widziała już u niego w pracy. Zdziwiło ją, że tak mało jest tytułów z dziedziny kultury materialnej. Najwięcej było powieści i prac poświęconych historii prekolumbijskiej. Na jednej z półek znalazła wszystkie powieści Dana. Na blacie dębowego biurka stał komputer, a obok drukarka. Na środku biurka leżał blok wypełniony notatkami. To był świat alter ego Daniela Wisdoma, czyli świat pisarza D. K. Wilinona.

Silvey oparła się pokusie przejrzenia szkicu nowej książki, bo wiedziała, że na pewno by mu się to nie spodobało. Chętnie zwiedziłaby resztę domu, chociaż nie liczyła na to. Kiedy Dan dowiedział się, co zrobił Reed, wyprosił ją za drzwi i nie będzie chciał z nią gadać.

Dan wrócił po kilku minutach ubrany w luźny biały podkoszulek i krótko obcięte džinsy, co dało Silvey nowe spojrzenie na męskie nogi. Nie przypuszczała, że nagie łydki mogą być takie erotyczne. Westchnęła.



- Jakież są te nadzwyczaj pilne wieści, których nie mogłaś przekazać przez telefon i musiałaś fatygować się osobiście?

Wyjął z lodówki kilka puszek z napojami i otworzył je, podchodząc do Silvey. Wskazał jej miejsce na kanapie naprzeciwko. Przycupnęła nerwowo na brzeżku.

- Chyba powinnam zadzwonić, ale bałam się, że rzucisz słuchawkę, zanim wyjaśnię ci wszystko do końca.

- Słucham - rzekł z powagą Dan.

- Opony były w porządku. To „Wojownicy Leili” spuścili z nich powietrze.

- Że co, przepraszam? - Z trzaskiem postawił puszkę na stole.

- Kilka osób z grupy pojechało w góry. Zobaczyli naszą furgonetkę i... - Wzruszyła ramionami. - W pewnej chwili wydawało mi się, że słyszę samochód. To pewnie byli oni. Uznali, że nie można przepuścić takiej okazji.

- Okazji do przysporzenia mi kłopotów, prawda?

- Nie chodziło im szczególnie o ciebie - patrzyła na niego ze skruchą - chcieli po prostu zrobić psikusa.

- Mówimy tu o dorosłych ludziach, prawda?

- W pewnym sensie.

Dan popatrzył na nią przez chwilę. Kiedy się odezwał, wyjątkowo ugrzeczniiony ton jego głosu wskazywał na to, że jest wściekły, ale stara się opanować.

- Wydawało mi się, że idea wspólnej wyprawy w góry polegała na tym, że przynajmniej chwilowo zawieszysz protesty. Nie musiałaś wysłać ich w ślad za nami.

Złość błysnęła w jej wzroku.

- No jasne. Uwielbiam burze piaskowe, potem długie marsze po pomoc drogową... - Zerwała się z kanapy.

- Poczekaj. Chcę to wyjaśnić do końca.

Usiadła sztywno, obciążając sukienkę.

- To był tylko psikus?
- Tak.
- I nic o tym nie wiedziałaś?
- Zgadza się.
- Wierzę ci.

Silvey była przygotowana na dłuższy spór, więc zdziwiła ją nagła zmiana. Popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Naprawdę?
- Tak, ale muszą zaprzestać takich żartów.
- Rozumiem, ale tylko babcia potrafi nad nimi zapanować.

Rzadko kiedy słuchają mnie.

- Więc czemu zgodziłaś się ich pilnować? - Uniósł rękę.
- Cofam to pytanie. Już wiem. Kwestia lojalności.
- Uważasz, że przesadzam z lojalnością wobec babci?
- Nie, ale przeszkadza ci to w obiektywnej ocenie sytuacji.
- Doprawdy? Cóż za błyskotliwa analiza mojego charakteru. Nie krępuj się. Mów dalej.
- Przestajesz z dawno nie widzianymi przyjaciółmi, traktując ich tak, jakby się wcale przez te lata nie zmienili.
- Jeśli masz na myśli Johna Ramosa, to wcale z nim nie „przestaję”.
- Tylko dlatego, że cię w porę powstrzymałem.

Nie zamierzała wszczynać jałowej dyskusji. Dan miał najwyraźniej coś na myśli i jeśli pozwoli mu dojść do tego punktu, na pewno wszystko jej wyjaśni.

- Nie wiem, do czego zmierzasz.
- Na ogół nie miałem do czynienia z kobietami takimi jak ty czy twoja babka. Z uczciwymi kobietami. Do ojca Ignęły raczej wyrachowane.

Silvey pamiętała wszystko, co jej wtedy powiedział.

- Twoje macochy były interesowne.
- Zwykle pijawki.

- Nie wszystkie kobiety są takie.  
- Wiem, ale moje pierwsze doświadczenia były raczej...  
przerażające. - Umilkł na chwilę, zastanawiając się, czy mówić dalej. - Kiedy miałem szesnaście lat, moja ówczesna macocha zaproponowała mi, że nauczy mnie paru rzeczy o miłości.

Silvey spojrzała na niego ze wzburzeniem.

- To obrzydliwe.  
- To samo powiedział mój ojciec, kiedy tego samego dnia wyrzucił ją z domu. Od razu wystąpił o rozwód.

- Punkt dla Lawrence'a.  
- Ja zadawałem się z lepszymi kobietami. Jak wspominałem, spotykałem się z niezależnymi kobietami, które podobnie jak ja wiedziały, czego chcą i nie zamierzały się angażować.

- Tym lepiej dla nich i dla ciebie.

Dan przemilczał tę uwagę.

- Uważałem, że to najlepszy sposób, by uniknąć błędów ojca, ale przez to stałem się cyniczny. Szybko i ostro oceniałem innych. Wiem, że nie jest to powód do dumy.

Na swój zawiły sposób, Dan usprawiedliwiał się przed nią.

- Jednak próbujesz się zmienić i za to cię kocham.  
- Powtórz, proszę.

Silvey otwierała i zamykała usta, potem wydała jakiś niezrozumiały dźwięk.

- Sama nie wierzę, że to powiedziałam. Jakoś mi się tak wyrwało, sama nie wiem czemu.

- Ale powiedziałaś. A teraz powtórz.

Przełknęła ślinę. Miała wrażenie, że gardło ma suche jak pustynia Sonora.

- Powiedziałam, że... cię kocham.

- A niech to, Silvey - mruknął i pocałował ją. Przesunął dłonie pod ramiączka jej sukienki, dotknął piersi. Usta podążały w ślad za dłońmi, posuwając się wzdłuż szyi.

Szok odebrał jej na chwilę oddech, ale pragnęła, by nie przerywał. Kiedy znów ich usta zetknęły się, ogniście odwzajemniła pocałunek. Do tej pory jeszcze tak jej nie całował. Trzymał w ramionach mnóstwo kobiet, lecz miała nadzieję, że oprócz namiętności, ten pocałunek różnił się od wszystkich innych tym, że towarzyszyło mu głębokie uczucie.

Kiedy odsunął się od niej, oczy miał pociemniałe.

- Silvey - odezwał się zmienionym głosem. - Nie mogę powiedzieć, że cię kocham. Nigdy nie widziałem, jak wygląda prawdziwa miłość.

- Tego się nie widzi, to się czuje. - Dotknęła jego twarzy. Przycisnął głowę do jej czoła.

- Kochanie, to, co czuje, ma więcej wspólnego z żądzą niż z miłością.

- Żądza? To już coś... - Kuszący uśmiech nagle zamarł na jej ustach. - Pozwól mi zostać na noc.

Zamknął oczy.

- Nie.

Głęboko dotknięta odmową spróbowała zareagować z godnością.

- No cóż, skoro tak uważasz... - Chciała wstać.

Powstrzymał ją.

- Bardzo tego pragnę, ale nie w ten sposób. Nie jesteś kobietą nadającą się do krótkiego, a nawet dłuższego romansu.

Postanowiła nie poddawać się bez walki.

- To znaczy, że nie wiem, czego chcę?

- Ty nawet nie wiesz, czego mogłabyś chcieć.

Uśmiechnęła się w duchu, bo to była prawda. Dan tak bardzo różnił się od innych mężczyzn, że nie wiedziała, co dalej robić. Po trzech tygodniach znajomości nie mogła przestać o nim myśleć, a w dodatku pragnęła go coraz bardziej.

- Chodź. - Podniósł się i pomógł jej wstać. - Odprowadzę cię do samochodu.

Choć wiedziała, że tak będzie lepiej, czuła jakiś wewnętrzny opór.

- Silvey, kiedy zaczniemy ze sobą chodzić, będziemy musieli zapomnieć o wszystkich sporach.

- Chodzić ze sobą?

- No wiesz, to taka staroświecka gra. Polega na chodzeniu na nudne koncerty, oglądaniu okropnych filmów i odwiedzaniu przereklamowanych restauracji.

Roześmiała się i wspiąwszy na palce, pocałowała go.

- To brzmi wspaniale. Kiedy zaczynamy?

- Jutro. Przyjadę po ciebie o siódmej. Pamiętam doskonale, że jesteś świetną tancerką.

- Ty również.

- Więc pójdziemy potańczyć.

- Nie mogę się wprost doczekać.

Wsiadła do samochodu. Dan zamknął drzwiczki i przypomniał, by zapięła pasy.

Już chciała powiedzieć, że zawsze to robi, bo wymagają tego przepisy stanowe, ale ugryzła się w język. Niech się o nią troszczy. To było równie cudowne jak miłość.

Zawróciła na autostradę i jadąc, uśmiechała się do siebie. Stan zakochania nie jest w końcu taki zły, chociaż dziewczyny powinny jednak zachować pewną ostrożność, ale ona chyba znalazła w końcu odpowiedniego mężczyznę.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kolejne kilka dni, wyjąwszy godziny pracy, spędzali razem. Dan narzekał, że pomimo zbliżającego się terminu zaniedbuje nową powieść. Silvey odpowiadała na to, że za mało czasu spędza przy odnawianiu sklepu, ale wiedziała, że żadne z nich nie zrezygnuje ze spotkań. Była rozczarowana, że jej nie pokochał, lecz nie traciła nadziei.

Zdołała się na odwagę i zatelefonowała do Leili, informując, że rezygnuje z nadzorowania „Wojowników”. Babcia zgodziła się z nią, przepraszając, że obarczyła Silvey tym brzemieniem. Pozbyła się go z ulgą, bo teraz mogła poświęcić więcej czasu nowym obowiązkom i Danowi.

Podczas każdej rozmowy z Leilą przypominała sobie, że Dan wciąż nie pogodził się z perspektywą kolejnego małżeństwa ojca. Przy każdej okazji podkreślała zalety babci, ale Dan słuchał tego ze znaczącym uśmiechem. W końcu zdała sobie sprawę, że niezależnie od tego, co powie, problem powinien rozwiązać ojciec i syn. Wszystko musi ułożyć się w naturalny sposób.

Pewnego popołudnia do sklepu wpadł Dan i ze źle skrywaną niecierpliwością czekał, aż Silvey skończy przygotowywać truskawkowy koktajl dla dwu małych dziewczynek. Kiedy wreszcie usiadły przy stoliku, pochylił się nad kontuarem i cmoknął Silvey.

- Dostałem zezwolenie na prowadzenie wykopalisk w wiosce Indian Moreno.

Miesiąc temu taka wiadomość by ją rozwścieczyła. Teraz uścisnęła mu rękę.

- To wspaniale, Dan. Moje gratulacje.

Uśmiechnął się i popatrzył na nią badawczo.

- Pogodziłaś się z tym?

- Tak. Mam odmienne zdanie, jeśli chodzi o teren cementarzystka, jednak wiem, że robisz dobrą robotę.

Nie zważając na chichoty małych klientek, pocałował ją znowu.

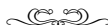
- Chyba będę musiał nadal przekonywać cię w tej sprawie. A teraz już leć. Zaczynamy jutro rano, więc biegnę sprawdzić sprzęt.

- Już jutro? Nie sądziłam, że tak szybko.

- Nie ma na co czekać.

- Chyba nie - przyznała, starając się ukryć rozczarowanie w głosie. Biorąc pod uwagę dwugodzinny dojazd na stanowisko archeologiczne i pracę nad książką, dla niej pozostanie mu niewiele czasu.

Dan wyglądał na uszczęśliwionego i nie chciała go smucić swoimi rozterkami. Pomachała z uśmiechem, kiedy wsiadał do samochodu. Potem westchnęła i zabrała się do pracy.



Następnego wieczoru siedziała w ulubionym fotelu z podwiniętymi bosymi stopami i bez większego zainteresowania oglądała wieczorne wiadomości, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Zerwała się i poprawiła włosy.

W drzwiach stał Dan, ale nie kwapił się z wejściem do środka.

- Cześć, Dan, jak tam wykopaliska? - spytała z uśmiechem, nie zważając na jego dziwne zachowanie.

W oczach miał cierpienie.

- Może wejdiesz?

Dan z lekkim ociąganiem wszedł do saloniku i w oficjalnej pozie usiadł na kanapie.

- Chyba domyślasz się, co mnie tu sprowadza - powiedział chłodnym tonem. - Nie powinnaś mi tego robić. Żarty też mają swoją granicę.

- Jakie żarty? - Oczy Silvey rozszerzyły się z przerażenia.

Dan znów zamienił się w nieznanego z parkingu.

- Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

- Naprawdę nie wiem.

- W porządku. Chciałem ci tego oszczędzić, dając możliwość wyjaśnienia sprawy. Co zrobiłaś z naszym Indiano Moreno, który znalazłaś na górze Branaman?

- A co miałam z nim robić? Przeszłam po pniu i włożyłam go w zagłębienie. Sam widziałeś. - Uśmiechnęła się z ulgą. - To wszystko? Zapomniałaś, które to drzewo?

- Nie zapomniałem - odparł Dan, marszcząc brwi. - Widziałem, jak go tam wkładasz, ale chcę wiedzieć, kiedy po niego wróciłaś?

- Kiedy co...? O czym ty mówisz?

- Naszyjnik zniknął.

- I to niby ja miałam go wziąć? Dlaczego?

- Z kilku powodów - odparł zasadniczym tonem. - Może chciałaś zaprotestować. W końcu byłaś przeciwna prowadzeniu wykopalisk. Jestem gotów zrozumieć taki odruch buntu, ale sprawa przybrała poważny obrót.

- Myślisz, że go ukradłam? - Niedowierzenie i groza odmalowały się na twarzy Silvey. Spojrzała na Dana. Kiedy tu wchodził, wyglądał na przygnębionego. Teraz wydawał się jej obcy. Patrzył na nią jak na oszustkę, nie jak na ukochaną kobietę.

- Chyba w to nie wierzysz, Dan?

Chłodny wyraz jego spojrzenia nie zmienił się.

- Wierzę w to, co widzę. Widziałem, jak umieszczasz na-



szynnik w pniu drzewa, kiedy powiedziałem, że nie możemy go stamtąd zabrać. A chciałaś to przecież zrobić...

- To niczego nie dowodzi.

- Kiedy dostałem zezwolenie na prowadzenie prac, pojechałem tam natychmiast. Naszynnika nie było, a tylko my wiedzieliśmy, gdzie został schowany.

Silvey dotknęła ręką szyi.

- I to automatycznie rzuca na mnie podejrzenie?

Dan przypatrywał się jej w milczeniu. W jego oczach pojawiło się wreszcie jakieś uczucie. Niestety, była to nienawiść.

- Nie widzę innego wytłumaczenia.

Poczuła silny ból w sercu. On naprawdę podejrzewają o to...

- Czy masz jakieś inne wyjaśnienie? - spytał.

- Nic nie wiem na ten temat. Nie zabrałam naszynnika.

- Był tam, kiedy opuszczaliśmy to miejsce, a teraz go nie ma.

- Nie wiem, gdzie jest. Nie wracałam po niego. Zresztą brama była zamknięta, a ja nie miałam klucza.

- Ale jesteś akrobatką - powiedział Dan.

Popatrzyła na niego. Czowała się jak w koszmarnym śnie, gdzie wszystko zmienia znaczenie i traci pierwotny sens.

- Co?

- Potrafisz bez trudu wspiąć się na płot. Przecież pokazywałam mi różne sztuczki, nie pamiętasz?

Pamiętała. Nie zapomniwała ani jednej chwili z tego wspaniałego dnia. Pamiętała, bo wtedy właśnie zdała sobie sprawę, że go kocha. Tylko czy to ma teraz jakieś znaczenie?

Nie ma. Dan jej nie wierzy.

- Po prostu powiedz, co z nim zrobiłaś, i zapomnijmy o całej sprawie.

Jej ból w jednej chwili zmienił się w gniew, w czystą furię. Zerwała się na równe nogi i ujęła pod boki.

- Lepiej od razu zapomnij o całej sprawie. Przykro mi, że naszyjnik zniknął. Po co miałam go zabierać?
- Snułaś przypuszczenia, że mógł należeć do twoich przodków.
- To żaden dowód. - Zadarła głowę.
- Naszyjnik miał wielką wartość historyczną, co dawało się przełożyć na pieniądze.
- Więc szukaj kogoś, kto potrzebuje pieniędzy.
- Ty ich potrzebujesz - odparował Dan.

Znów ją zabolalo, ale przemogła się.

- Popęłniłam błąd, pożyczając je od ciebie. Zwróć je natychmiast, żebyś nie mógł oskarżyć mnie o kolejną kradzież.
- Nie chcę tych cholernych pieniędzy - wydusił przez zacisnięte zęby.
- Nie. - Wycelowwała w niego palec. - Chcesz, żebym oddała naszyjnik, którego nie wzięłam.
- Tylko ja i ty wiedzieliśmy, gdzie on jest. Byliśmy sami.
- Na pewno? Zapomniałeś o spuszczonej powietrze z kół?
- Czy sądzisz, że to ci zwariowani staruszkowie?
- Oczywiście, że nie. Poskręcaliby sobie karki, próbując sforsować ogrodzenie.

Dan umilkł i zrobił taką minę, jakby mu nagle coś zaświtało w głowie. Coś całkiem nowego.

Silvey doszła do wniosku, że pewnie próbuje wymyślić jakieś nowe oskarżenie. Wzięła głęboki oddech.

- Wyjdź stąd natychmiast! - krzyknęła z nie skrywaną wściekłością. - Nie zabrałam naszyjnika! Poszukaj prawdziwego złodzieja, zamiast mnie oskarżać!

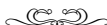
Dan popatrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem i wybiegł, zostawiając szeroko otwarte drzwi.

Opadła na kanapę i wybuchnęła płaczem. Pokochała potwora. Gdyby cyrk działał nadal, można byłoby go pokazywać jako

kuriozum. W pierwszej chwili chciała zatelefonować do Leili, ale doszła do wniosku, że w tym stanie plotłaby jedynie jakieś bzdury.

Wiatr cisnął do mieszkania garść kurzu. To ją przywołało do przytomności. Wstała, zamknęła drzwi i przeszła do kuchni, nie fatygując się nawet, by przemyć zapłakaną twarz. I tak będzie szlochać dalej.

Zaparzyła kawę. Nie miała co liczyć na sen tej nocy.



Dan nie pojawiał się przez kilka następnych dni. To dziwne, ale Silvey, zamiast odczuć ulgę, niepokoiła się coraz bardziej. Wciąż nie oczyściła się z tych bezsensownych zarzutów, a niesłuszne posądzanie jej najwyraźniej weszło mu w krew.

Praca nie dawała jej ukojenia, parę razy nawet przyłapała się na niegrzecznym zachowaniu wobec klientów. Jeśli nie weźmie się w garść, zniszczy to, o co z takim wysiłkiem walczyła. Codziennie zamykając Yogurt Gallery, bała się nadejścia kolejnej nocy.

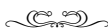


Silvey zwolniła wcześniej swoich pracowników i została sama aż do zamknięcia. Trzykrotnie przeliczyła pieniądze, zanim włożyła je do saszetki depozytowej. Zarzuciła torebkę na ramię i przed wyjściem tylnymi drzwiami włączyła alarm.

Asfalt stygł powoli, oddając ciepło nagromadzone w ciągu dnia. Wiatr ucichł na chwilę. Zamknąwszy drzwi, odwróciła się w stronę ciemnej uliczki. Gęste chmury skryły księżyc, a latarnie na końcu alejki były zgaszone. Zakłęła pod nosem. Od miesiąca prosiła właścicieli centrum handlowego, by zostawiali światło, ale znowu bez skutku.

Drgnęła, przypominając sobie pierwsze spotkanie z Danem. Tym razem nie słychać było żadnych odgłosów. Szybko wrzuciła depozyt do skrytki i wróciła do samochodu. Silnik

zamruczał cichutko. Wszystko po staremu, pomyślała ze smutkiem.



Na ganku stał Dan. Widząc go, poczuła ucisk w gardle. Zaparkowała samochód i sztywno wyprostowana starała się go wyminąć.

- Cześć, Silvey - odezwał się jak gdyby nigdy nic.

- Odejdź stąd! - wydusiła z trudem. - Daj mi spokój, bo wezwę policję.

- Doskonale - uśmiechnął się Dan. - Wzywaj. Powiem im, że moja narzeczona ma przedślubną depresję i nie wie, co mówi.

- Nie ośmieliłbyś się! - Gorączkowo usiłowała trafić kluczem do zamka.

- Przekonaj się, sąsiedzi będą zachwyceni - odparł, wyjmując jej klucz z ręki. Otworzył drzwi. - Posłuchaj lepiej tego, co mam ci do powiedzenia - dodał, wchodząc.

Oparła się o drzwi, krzyżując ręce na piersiach.

- Słuchałam cię wystarczająco długo. Teraz nie chcę cię znać. - Popatrzyła na niego zaczerwienionymi od łez i niewyspania oczyma. - Miałeś za nic to, że cię kochałam.

- Nieprawda.

- No jasne. Tak bardzo ci na mnie zależało, że bez wahania posądziłeś mnie o kradzież naszyjnika.

- Przestań, zanim powiesz coś, czego będziesz potem żałowała.

- Żałuję jedynie, że się w tobie zakochałam. Na szczęście, to mija z czasem jak przeziębienie i...

- To był John Ramos.

- Co? - Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

- Złodziejem okazał się John Ramos. Usiłował znaleźć nabywcę. Sprawa wyjaśniłaby się wcześniej, gdybyś mi powie-

działa, że on również jest akrobatą. Miał też motyw. Wciąż uskarżał się na brak pieniędzy i wysokie alimenty.

- Czy on nas śledził?

- Tak. Po tym, jak cię podwiózł do domu, postanowił jechać za nami. Jak pamiętasz, bramę zostawiliśmy otwartą. Widział, jak znaleźliśmy naszyjnik. Ramos jest chciwym łajdakiem, ale nie idiotą. Doszedł do wniosku, że zanim dostanę zgodę na wykopaliska, minie szereg tygodni, a wówczas za zniknięcie naszyjnika obarczymy winą złodziei skorup.

- Ale ty podejrzewałeś mnie, a nie złodziei skorup.

Dan zaczerwienił się.

- Przepraszam, Silvey... Niestety, nikt inny nie przychodził mi na myśl.

- Powinieneś mi zaufać.

- Zaufanie łączy się z miłością. Tłumaczyłem ci już, że mało wiem na ten temat.

- Nie wiesz nic. - Odsunęła się od drzwi, najwyraźniej chcąc go wyprosić.

- Uczę się szybko. Już wiem, że cię kocham.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Co powiedziałeś?

- Kocham cię, Silvey.

Nadzieja zaświtała w jej sercu, ale wciąż nie mogła w to uwierzyć.

- Niemożliwe. Nic nie wiesz o miłości.

- Wiem, że byłem cholernym głupcem, myśląc, że miałaś coś wspólnego z kradzieżą. Wiem, że jesteś inna niż kobiety, które znałem. - Wziął ją za rękę. - Jeżeli na zawsze usuniesz mnie ze swego życia, będę mógł winić tylko siebie, ale mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Silvey pokręciła głową.

- Za długo z tym zwlekałeś. Zmieniłeś zdanie dopiero po

złapaniu Ramosa. To rozumiem. Ale nie wmawiaj mi, że pokochałeś mnie, jadąc tu z tą wiadomością.

- Kochałem cię od dawna. - Przynął się bliżej. - Tylko nie wiedziałem, że to miłość.

- Chyba rzeczywiście nie mogłeś rozpoznać czegoś, czego nigdy nie doznałeś - szepnęła.

- Tak było. - Przytulił ją do siebie. - Powiedz mi, że jeszcze nie wszystko stracone, że nadal mnie kochasz.

- Oczywiście, że cię kocham - odparła, czując, jak spada jej kamień z serca. - Miłość nie umiera tylko dlatego, że osoba, którą kochamy, popełnia jakieś głupstwo.

- Mów mi to za każdym razem, kiedy zrobię coś głupiego. Pocałował ją. Miłość, jaką żywiła do niego, znalazła swój wyraz w tym pocałunku. Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, popatrzyła na niego figlarnie.

- Teraz chyba rozumiesz, co czuje Lawrence. Uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Tak. Myliłem się w stosunku do niego i Leili. Powinienem raczej podziwiać go za to, że pomimo nieudanych małżeństw, wciąż nie traci nadziei na szczęście.

- A ty nawet nie odważyłeś się spróbować.

- To prawda. - Skrzywił się.

Przechyliła głowę i popatrzyła na niego uważnie.

- Czy to znaczy, że nie będziesz się sprzeciwiał ich małżeństwu?

- Nie. Raczej sądzę, że będzie to podwójny ślub.

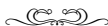
- Naprawdę? - Stała na palcach i objęła go za szyję. - To mi się podoba.

Przez kilka minut zajmowali się czymś całkiem innym niż rozmowa.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz? Że wyjdiesz za mnie?

Silvey popatrzyła na niego z powagą.

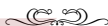
- Owszem, pod warunkiem, że zapamiętasz sobie jedno: poślubiasz mnie na zawsze.
- Umowa stoi.



Podwójny ślub miał odbyć się w październiku w indiańskiej wiosce na górze Branaman, która przystroiła się na tę okazję w czerwieniu i żółcie. Leila postanowiła wystąpić w bledożółtej sukni, Silvey tradycyjnie w białej.

Miejsce wybrał Dan, a Silvey była tym bardziej zachwycona, że podarował jej zamówioną u miejscowego jubilera kopię ślubnego naszyjnika Indian Moreno.

Leila początkowo była przeciwna temu pomysłowi, ale przekonał ją Lawrence, twierdząc, że pięć poprzednich małżeństw zawierał pod dachem i żadne nie przetrwało próby czasu. Leila twierdziła co prawda, że małżeństwa rozsypywały się z powodu niewłaściwego doboru partnerek, ale zgodziła się na ślub w wiosce i energicznie włączyła się do przygotowań.



Silvey wciągnęła do płuc rześkie jesienne powietrze. Żółte liście osiki szybowwały w powietrzu. Niektóre opadały na teren wioski, która odsłaniała coraz więcej tajemnic z życia Indian Moreno. Kiedy Dan został mianowany szefem wydziału, kupił nowoczesny sprzęt do poszukiwań.

W sprawie cmentarzyska udało się osiągnąć kompromis. Dan postanowił odkopać groby, zrobić pełną dokumentację i zasypać wszystko z powrotem. Biuro Zarządu Ziemi obiecało zabezpieczyć potem ten teren przed ewentualnymi wandalami.

Liście opadały na gości czekających na rozpoczęcie ceremonii. Żartując, strącali je na ziemię. Studenci z uczelni Sonora umilali im czas grą na skrzypcach i wiolonczeli.

Silvey nie mogłaby sobie wymarzyć lepszego miejsca na ślub niż to, gdzie żyli jej przodkowie.

Muzycy zaczęli stroić instrumenty do odegrania marsza weselnego. Richard Carlton - występujący tu w podwójnej roli: ojca i zarazem syna - ujął córkę pod jedno ramię, a pod drugie matkę.

- Czy jesteś gotów poprowadzić nas obie do ślubu? - spytała ojca uśmiechnięta Silvey.

- Nie, ale i tak to zrobię.

Roześmiała się i uściśniła go. Potem mrugnęła do mamy.

- Cieszę się, że mama też tu jest.

Richard popatrzył w kierunku Dana i Lawrence'a, którzy zajęli już miejsca przy ołtarzu.

- Jesteś naszą jedyną córką, a to moja matka. - Popatrzył na nie. - Jesteś pewna, że wiesz, co czynisz?

Silvey spojrzała na ojca uszczęśliwionym wzrokiem.

- Doskonale wiem, co robię, tato. I wiesz, że jestem z tego powodu wyjątkowo szczęśliwa.

Popatrzył z dumą na córkę i roześmiał się. Zabrzmiały pierwsze takty muzyki. Zgodnie ruszyli w stronę kapłana.

